



T. 544.171

Jack London

Cora  
nocy



DATE

2000  
1715 - 30

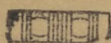


JACK LONDON

# CÓRA NOCY

*przełożył z angielskiego*

JERZY-MARJUSZ TAYLOR



*Cyflon 10*

WARSZAWA

BIBLIOTEKA ROMANSÓW I POWIEŚCI

1 9 3 0



I. 544.171

Druk: Sz. Sikora



## CÓRA NOCY

Było to w starym klubie Alta Inyo podczas upalnej nocy, zbyt upalnej nawet dla San Francisco, Przez wpół uchylone drzwi dolatywała daleka i przysłyszona wrzawa ulic wielkiego miasta. Prowadziłyśmy rozmowę na temat sprawy Grafta i ostatnich wypadków, które zaszły w mieście. Poruszyliśmy też mimowoli drażliwe sprawy zgnilizny moralnej i nikczemności i nienawiści i całej szpetoty ludzkiego charakteru.

Ktoś wreszcie wymienił nazwisko O'Briena. Łączyło się z nim aktualne wspomnienie tragicznego wypadku. O'Brien, młody zapasnik, rokujący jaknajlepsze nadzieje, ubiegłej właśnie nocy postradał życie w zapasach.

Przygnębiające wrażenie poprzedniej naszej rozmowy pierzchno niezwłocznie. O'Brien był młodzieńcem o nieskazitelnych obyczajach, wierzącym w ideały. Nie oddawał się hulankom, mowa jego wolna była od przekleństw, nie używał tytoniu, a ciało jego miało piękne kształty młodego boga. Wzruszającym było, że nawet idąc na zapasy zabie-

rał książkę do nabożeństwa. Znalaziono ją potem w kieszeni jego marynarki, pozostałej w rozbieralni.

Była to *Młodość*, czysta i zdrowa, nieskażona dotknięciem złego, stanowiąca przedmiot podziwu dla ludzi, którzy swoją utracili już dawno i teraz, siedząc w klubie, prowadzili o niej rozmowę.

Tak namiętnie rozstrząsaliśmy ten temat, aż wreszcie przyszła *Bajka* i zawiodła nas daleko poza mury ludnego miasta. Znikło, rozplynęło się wraz z gwarem jego hałaśliwych rozkrzyczanych ulic.

Rozpoczął Bardwell, cytując Thoreau. Ale stary Trefethan, łysy i pomarszczony Trefethan podjął cytataę i w ciągu całej godziny następnej czarował nas swem opowiadaniem, stając się wciele niem żywej *Bajki*. Z początku sądziliśmy, że Trefethan wypił zbyt wiele whisky po obiedzie. Wprę dce jednak wszystko to uległo zapomnieniu.

— Było to w roku 1898, — zaczął. — Miałem wtedy trzydzieści pięć lat. Tak, tak, wiem, że my ślicie o tem ile liczę dzisiaj. Macie rację. Dziś więc mam czterdzieści siedem. Jeszcze dziesięć lat i lekarze mówią, że... Ale wreszcie do diabła ze wszystkimi lekarzami.

Przytknął do ust, wysoką, wąską szklanke i sączył wolno napój. Pragnął zapewne stłumić swe rozgoryczenie.

— Ale ostatecznie miałem przecież chyba kie dys młodość. Dwanaście lat temu byłem jeszcze młodym. Nie miałem wówczas łysiny, a w pasie byłem cienki jak szybkobiegacz. Najdłuższy dzień nie



wydawał mi się zbyt męczącym. Byłem zdrow jak koń w roku 1898. Pamiętasz, Milner? Zналиśmy się już wtedy. Czy nie byłem wcieleniem zdrowie?

Milner kiwnął głową i przytaknął. Znali się od dawna. Obydwaj byli inżynierami-górnikami. Razem szukali bogactwa w Klondyke.

— Masz rację, stary, — rzekł. Istotnie byłeś takim. Nigdy nie zapomnę jakiego dałeś łupnia łazikom z M. i M. tej nocy kiedy mały dziennikarz rozpoczął swój objazd. Slavin znajdował się wówczas w kraju. Pamiętam jak przedsiębiorcy chcieli urządzić jego match z Trefethanem.

— Dobrze, dobrze. Spójrzno na mnie teraz, — mruknął gniewnie Trefethan. — Oto, co uczyniły ze mnie kopalnie złota. Nie wiem już ile zyskałem milionów. Ale w duszy mej i w żyłach nie pozostało nic. Dobra czerwona krew znikła, wyschła doszczętnie. Jestem teraz mięczakiem, wielką masą trzęsącej się protoplazmy, czemś, czemś...

Głos odmówił mu posłuszeństwa i Trefethan pociągnął nowy łyk z wysokiej szklanki.

— Kobiety patrzyły na mnie... wówczas. Pochlaniały mnie wzrokiem. Obracały się, aby przyrzec mi się raz jeszcze. Dziwnem jest wprost, że nie ożeniłem się. Była jednak dziewczyna... O niej to właściwie mam zamiar wam opowiedzieć. W pustkowiu, o tysiąc mil od ludzkich osiedli spotkałem tę dziewczynę. Zacytowała mi wówczas ten sam ustęp Thoreau, który przed chwilą recytował Bard-

well. Te same słowa. O bóstwach dnia i o bóstwach nocy.

Zdarzyło się to wtedy, kiedy usadowiłem się na Goldstead, nie wiedząc bynajmniej o tem, jaką skarbnicą jest ta okolica. Wędrowałem wówczas na wschód, przez góry Skaliste aż do Great Slave czyniąc po drodze dorywcze poszukiwania. Wyżej, na północ góry te są już czemś więcej niż łańcuchem. Stanowią niedostępny mur, krawędź jednolitą, niezdobytą warownią. Niema tam żadnych dróg ludzkich. Przekraczali je wprawdzie już w czasach najdawniejszych traperzy. Były to jednak wypadki odo-sobnione. Więcej ich ginęło zresztą niż wracało. To właśnie było powodem dlaczego tak bardzo pragnąłem tej podróży. Byłaby ona chlubą dla każdego. Pysznię się nią też teraz więcej niż czemkolwiek innem dokonaniem w życiu.

Jest to kraj dziewiczy. Olbrzymie jego przestrzenie nigdy jeszcze dotąd nie zostały zbadane. Znajdują się tam rozległe doliny, w których nie pozostała noga białego przybysza. Koczują wśród nich plemiona indyjskie równie pierwotne jak przodkowie ich z przed dziesięciu tysięcy lat. Niezupełnie zresztą, gdyż ostatecznie mają one pewien kontakt z białymi. Niektóre z nich udają się czasem na handel wymienny. To wszystko. Nawet Kompanja Zatok Hudsona nic odkryła dotąd tych ziem i nie założyła tam swoich ferm.

A teraz o dziewczynie. Dążyłem wówczas doliną strumienia bez nazwy, niezapisanego na żadnej



maple, strumienia, który w Kalifornji łącno uznany-by został za rzekę. Była to wspaniała dolina. Nie-kiedy zagradzały mi drogę niebotyczne kanjony, to znów otwierał się widok na cudowne przestrzenie, szerokie i długie. Na nizinach ciągnęły się żyzne pastwiskach, na zboczach łąki, obficie upstrzone kwieciami, wyżej wreszcie całe gaje drzew, pięknych jodeł, dziewiczych i wyniosłych.

Moje psy tarzały się tu na grzbietach, lizaly sobie poranione łapy i baraszkowały wesoło. Ja zaś rozglądałem się za jakimś wigwamem indyjskim. Pragnąłem zdobyć sanki oraz poganiaczy i ruszyć z pierwszym śniegiem. Pora była spóźniona i te łąki usiane kwiatami wprawiły mnie w zdumienie. Sądziłem, że znajduję się w podbiegunowej okolicy, a tymczasem w tej dolinie trwało lato. Kiedyś zapewne nadejdzie dzień, że biali osiedleńcy zawędrują aż tam i zasieją pszenicą całą dolinę.

Spostrzegłem wkrótce dymy, usłyszałem ujadanie indyjskich psów i niebawem znalazłem się w obozie. Było tam conajmniej pięciuset czystej krwi Indjan. Ich zadowolone twarze znamionowały, że ostatnie polowania wypadły pomyślnie. Tam właśnie spotkałem tę dziewczynę, Lucy. Takie imię nosiła. Porozumiałem się z Indjanami szybko, choć tylko na migi. Zaprowadzili mnie do okazałego namiotu. Cały sporządzony był z łosich skór, wiecie, tych lepszych, wędzonych w dymie, starannie wygładzonych ręcznie, o barwie żółtego brązu. Namiot otwarty był od strony obozowego ogniska.

Wewnątrz panowały ład i czystość, jakie rzadko tylko spotyka się w indyjskich wigwamach. Posłanie było sporządzone na świeżych gałęziach jodłowych. Składało się z przeróżnych skór, nagromadzonych jedna na drugą. Wszystko to pokrywał wspaniały płaszcz z białych łabędzich skór. Nigdy nie widziałem równie pięknego. Na płaszczu zaś siedziała ze skrzyżowanymi nogami Lucy. Skóra jej była barwy orzechowej. Nazwałem ją dziewczyną. Nie była nią. Była kobietą, o brązowej skórze, amazonką, kobietą wspaniale zbudowaną i królewsko dojrzałą. Oczy jej zaś były błękitne.

To właśnie uderzyło mnie. Jej błękitne oczy. Nie, nie były błękitne. Raczej szafirowe. Były jak morze i niebo stopione w jedną całość. Spojrzenie ich przytem było nader mądre. Powiem więcej. Spozstrzegłem w tych oczach błyski gorące, słoneczne, bardzo ludzkie, a jeszcze więcej powiedziałbym kobiece. Tak było istotnie jak mówię. Oczy jej miały wyraz prawdziwej kobiecości. Wszak wiecie co to znaczy. Czyż mogę tu dodać coś jeszcze? Jednocześnie zaś bił z tych szafirowych oczu dziki niepokój, tęsknota niepoohamowana i wreszcie chłód, chłód absolutny, coś jakby spokój wszechmądrości filozoficznej.

Tu Trefethan urwał nagle.

— Sądzicie moi drodzy, że uraczyłem się po nad miarę? Nie, bynajmniej. Ta szklanka jest piątą dopiero z kolei od obiadu. Jestem przeraźliwie trzeźwy. Mówię zupełnie poważnie. Wywołałem tylko cienie mei świętej młodości. To nie *stary* Trefethan opowiada



wam te dzieje. To moja młodość. Ona to właśnie twierdzi, że te oczy były najpiękniejszymi, jakie widziałem kiedykolwiek. Tak bardzo chłodne, a jednocześnie niespokojne. Pełne mądrości, a jednak ciekawe. Odwiecznie stare i młode zupełnie. Zadowolone, a równocześnie baczne na wszystko i bolesne. Chłopcy, nie potrafię wam opisać wyrazu tych oczu. Kiedy skończę już moją opowieść, wówczas sami będziecie mogli osądzić czy mam rację.

Nie poruszyła się z miejsca, gdy wszedłem do namiotu. Powitała mnie skinieniem dłoni.

— Cudzoziemcze — rzekła. — Przybycie twoje sprawia mi radość.

Miała chropowatą wymowę ludzi zachodniego pogranicza. Wyobraźcie sobie moje zdumienie. To była biała kobieta. Ale ta wymowa. Już to samo było zdumiewające, że biała kobieta mogła się znaleźć w tem pustkowiu, leżącym za ostatnią granicą cywilizowanego świata. Ale jej wymowa. Mówię wam. Raniła me uszy. Sprawiała mi ból. A jednak, pozwólcie mi to powiedzieć, że kobieta ta była prawdziwą poetką. Przekonacie się o tem zresztą sami.

Odprawiła Indian. Usłuchali niezwłocznie. Wydała im pewne polecenia, które zostały wykonane w oka mgnieniu. Była przecież hi-gu-skookum, wodzem kobietą. Kazała dzikim przygotować dla mnie namiot i oporządzić moje psy. Uczynili to niezwłocznie. Wiedzieli również, że nie wolno jest im ukraść bodajby rzemyka od mych mokassynów. Była prawdziwą władczynią, której rozkazy musiały

być spełnione. Zapewniam was, że to przeświadczenie ścinało krew w mych żyłach. Czulem jak mrówki biegały mi po grzbiecie. Spotkać białą kobietę, grającą rolę władczyni dzikiego plemienia? Tu, o tyście mil od ludzkich osiedli, na drugiej krawędzi ziemi niczyjej?

— Cudzoziemcze — rzekła znów. — Sądzę, iż napewno jesteś pierwszym z białych, który postawił swą stopę w tej dolinie. Usiądź więc i opowiedz mi cośkolwiek o sobie, zanim podadzą nam strawę. Jaką drogą dostałeś się tutaj?

Znów ta wymowa. Ale teraz chcę byście zapomnieli o niej aż do końca mojej opowiedzi. Mówię wam, że i ja zapomniałem, siedząc tam na skraju płaszcza z łabędziach skór, słuchając cały czas i patrząc na najpiękniejszą kobietę, jaka kiedykolwiek zstąpiła z kart Thereau czy też innego poety.

Przez cały tydzień pozostałem w obozie. Uczyniłem to na specjalne jej zaproszenie. Obiecała dostarczyć mi sań, psów oraz Indjan, którzy mieli towarzyszyć mi na odległość pięciuset mil i przeprowadzić najdogodniejszymi przełęczami przez Góry Skaliste. Namiot jej stał nieco opodal od innych, na wysokim brzegu rzeki. Kilka indyjskich dziewcząt gotowało dla niej strawę i wykonywało wszelkie prace obozowe. Rozmawialiśmy długo i wiele, aż wreszcie spadły pierwsze śniegi, umożliwiające przejazd moim saniom. A oto historia życia tej dziewczyny.



Urodziła się na pograniczu. Była dzieckiem biednych osadników. Wiecie, co to znaczy. Praca dziś i jutro i pojutrze. Zawsze praca i praca bez końca.

— Nie zaznałam nigdy rozkoszy życia, — mówiła mi. — Nie miałam na to czasu. Wiedziałam wprawdzie, że dość jest po nie sięgnąć ręką. Ale byłam zanadto zapracowana. Musiałam karczować pole i siać ziarno i żąć zboże, albo też wykonywać różne roboty domowe. Wskutek tej pracy ponad siły głowa częstokroć ciążyła mi jak ołów. Byłam przemęczona. Chciałam rzucić to wszystko i uciec. Najczęściej pragnienie to przychodziło na wiosnę. Wówczas śpiew ptasząt upajał i oszalał mnie doszczętnie. Pragnęłam biec przez zielone łąki, brocząc po kostki stóp w chłodnej rosie. Marzyłam o tem aby wspiąć się na zbocza gór, pozostawić za sobą osiedla ludzkie i biec, biec dalej hen, aby ogarnąć spojrzeniem cały świat. Oh, miałam wszelkie rodzaje pożądań. Chciałam prześlizgnąć się przez paszczę kanjonów i błądzić od jeziora do jeziora, zawierając przyjaźń z wydrami i chybkiemi pstrągami. Chciałam zaglądać do dziupli drzewnych i nor, aby podpatrywać wiewiórki i króliki i różne inne małe dzikie zwierzątka. Pragnęłam wiedzieć co robią one na wolności. Chciałam poznać ich wszelkie tajemnice. Zdawało mi się, że mając dość wolnego czasu, mogłabym wpełznąć między kwiaty i tam, szanując ciszę i spokój, podsłuchać ich rozmowy. A sądziłam, że mówią one między sobą o różnych ma-



drych rzeczach, których nie rozumie żaden człowiek na ziemi.

Trefethan urwał nagle i zażądał nowej szklanki whisky.

— Chciałam biec nocami jak dziki stwór leśny,— opowiadała mi innym razem. — Pragnęłam tego tylko dla samej przyjemności biegu w świetle miesiąca i gwiazd. Biała i naga biegłabym wśród mroków nocy, które, wiedziałam to dobrze, muszą być miękkie i rozkoszne jak atlas. Pewnego wieczoru znów głowa zaciężła mi jak olów. Był to niezmiernie upalny dzień. Ciasto na chleb nie chciało się podnosić, a robienie masła szło opieszale. Byłam zdenerwowana i roztargniona więcej niż zwykle. Tego wieczoru powiedziałam ojcu o mych pragnieniach. Spojrzył na mnie trochę zdziwiony, trochę przestraszony. Po namyśle dał mi wtedy jakieś dwie pigułki. Kazał mi pójść spać i powiedział, że nazajutrz będę zupełnie zdrowa. Wobec tego nie mówiłam już o mych marzeniach ani z ojcem ani z nikim.

Rodzina jej wkrótce opuściła fermę. Myślę, że zmusił ją do tego nieurodzaj. Przeniosła się do Seattle. Tam pracowała początkowo na fabryce. Długie, długie godziny, wiecie. Zabójcza praca. W następnym roku była kelnerką w taniej restauracji, garkuchni, jak ją nazywała.

Powiedziała mi pewnego razu.

— Sądzę, że to czego pragnęłam było *Bajką*. Ale takich marzeń nie tolerują ani w fabrykach ani w garkuchniach.



Wydano ją wreszcie za mąż. Miała wtedy osiemnaście lat. Mąż jej postanowił udać się do Juneau, aby założyć tam restaurację. Miał trochę zaoszczędzonych dolarów i wyglądał na człowieka poważnego. Nie kochała go. Pod względem miłości miała swoje przekonania. Odczuwała jednak zmęczenie i chciała pozbyć się już raz tej ciągłej pracy. Poza-tem Juneau znajdowało się na Alasce. Jej zaś tęsknoty stały się wówczas pragnieniem oglądania tego kraju cudów. Ale niewiele co udało się jej zobaczyć. Mąż założył małą, taniutką restauracyjkę. Zauważyła wprędce, że ożenił się z nią jedynie po to, aby zaoszczędzić sobie kosztów utrzymywania kelnerki. Musiała więc znów pracować, robić wszystko, od podawania gościom jedła aż do zmywania naczyń. W wolnym czasie gotowała. I takie życie ciągnęło się przez całe cztery lata.

Czy możecie sobie wyobrazić to dzikie stworzenie leśne, pełne pierwotnych instynktów i pożądań, pracujące ciężko w małej garkuchni w ciągu czterech śmiertelnie długich lat?

— To wszystko nie miało sensu, — powiedziała mi raz. — Cóż za otoczenie miałam? Po co się wogóle urodziłam? Czy to właśnie miało być wyłącznym celem mego życia? Harować ciągle i być zmęczoną? Znużona śmiertelnie kładłam się spać i budziłam się bez uczucia wypoczynku. Każdy dzień był podobny do poprzedniego z tą różnicą, że niekiedy trafiały się dni cięższe.

Słyszała, jak mówiono czasem o życiu przy-

szłem, o nieśmiertelności. Nie sądziła jednak, aby to, co robiła dotąd było należytem przygotowaniem do przyszłej nieśmiertelności.

Marzyła jednak wciąż, choć już rzadziej znacznie. Czasem czytała książki. Brała je z miejscowej czytalni. Możecie sobie łatwo wyobrazić jakie to były książki. Jednakże i te liche powieścidla podsycaly jej fantastyczne pragnienia.

Czasami — mówiła, — kiedy nawpół traciłam przytomność wskutek upału panującego w kuchni i czułam że zemdleję, jeśli nie odetchnę świeżem powietrzem, wysuwałam głowę przez okno. Zamykałam oczy i widziałam wtedy cudowne rzeczy. Zdawało mi się, że szłam jakąś nieznaną drogą. Dokoła panowała rozkoszna cisza. Nie było kurzu ani brudów. Srebrzyste strumienie szumiały, płynąc wśród czarujących łąk, na których igrały białe owieczki. Orzeźwiający wietrzyk niósł upojną woń kwiatów, a promienie słońca zsyłały łagodne ciepło. W cichych stawach brodziły krowy. W szumiących strumykach pluskały się piękne dziewczęta, białe i smukłe, naturalne w swej nagości. Wiedziałam wówczas, że jest to Arkadja. W jakiejś książce czytałam raz o tym kraju. Rycerze w błyszczących zbrojach jechali drogą. Czasami przemknęła jakaś wielka dama, jadąca na mleczno białym wierzchowcu. W oddali dostrzegałam zębate wieże potężnych zamków. Wiedziałam, że w następnej chwili wkroczę do wnętrza legendarnego pałacu, zbudowanego z białego marmuru, nierealnego pałacu z *Bajki*. W jego dziedziń-



cach tryskają fontanny, w klombach kwitną wielobarwne kwiaty, a po zielonych trawnikach przechadzają się dumne pawie. Ale wtedy otwierałam nagle oczy. Biło znów na mnie gorące i stęchłe powietrze kuchni. Słyszałam głos męża.

— Dlaczego, — pytał Jake, — nie podałaś gościom fasoli? Pomyśl tylko, że ja sam inuszę harować i usługiwać przez cały dzień!

— *Bajka!* Sądzę, że najbliższą jej byłam w owej chwili, kiedy jakiś Ormianin w pijackim szale usiłował nożem od kartofli poderżnąć mi gardło. Obroniłam się ręką, w którym gotowałam potrawę. Poparzyłam sobie straszliwie rękę.

— Pragnęłam innego życia i pięknych rzeczy i *Bajki*. Tej nadewszystko. Sądziłam jednak, że nie mam do niczego szczęścia. Wydawało mi się, że urodziłam się tylko po to aby gotować i zmywać naczynia. Juneau już w tym czasie było przeludnione. Widziałam różne kobiety, ale nie pociągał mnie ich tryb życia. Sądzę, że chciałam pozostać czystą. Sama nie wiem czemu. Myślę jednak, że tak było. Sądziłam zresztą, że mogę równie dobrze umrzeć zmywając naczynia.

Trefethan przerwał na chwilę opowiadanie. Wydawało się, że przypomina sobie dalsze szczegóły.

— Taką więc — ciągnął dalej — była spotkana przezemnie na dalekiej północy kobieta, rządząca plemieniem dzikich Indjan, władająca obszarem myśliwskim o kilku tysiącach kwadratowych mil.

Przyszło jej to tak dość zwyczajnie, choć wszelkie szanse były za tem aby żyła nadal i umarła z czasem między swemi rondlami i patelniami. Ale nagle „rozległo się zakłęcie i marzenie stało się rzeczywistością“. To było wszystko czego potrzebowała. Osiągnęła to nareszcie.

— Zbudziwszy się pewnego poranku — tak mi opowiadała — spostrzegłam porzucony strzępek gazety. Przeczytałam. Do dziś pamiętam i mogę powtórzyć każde słowo.

I powiedziawszy to zacytowała ustęp z „Krzyku ludzkości“ Thoreau.

*„Pokrzepiającem są dla mnie zjawiskiem młode sosny wyrastające z roku na rok wśród uprawnych pól. Mówimy o potrzebie cywilizowania Indjan. Ale czy w ten sposób osiągnie to plemię doskonałość? Przecież niezależność i mglistość współnieświadomego leśnego bytu daje Indianinowi możliwość obcowaniu z jego narodczwemi bóstwami. Od czasu do czasu wskutek tego dostępuje on rzadkiego i osobliwego daru — całkowitego zespolenia się z przyrodą. W umyśle jego migoczą błyski gwiazdnej mądrości która nie gości w progach naszych salonów. Jasność jego umysłu, mglista dlatego tylko jedynie że daleka jest jak słabe, a jednak czyste promieniowanie gwiazd w porównaniu z niepięknem i złudnem, a krótkotrwałem jarzeniem świec. Krajowcy z Wysp Towarzyskich czczą bóstwa, zrodzone z światłości słonecznej, na jedną chwilę jednak nie przypuszczają, aby te dzieci dnia mogły mieć dawność równie*



*starożytną jak bóstwa zrodzone w mrokach nocy*<sup>a</sup>.

Słowo za słowem powtarzała ten ustęp Thoreau. Zapomniałem o jej wymowie. Słowa te były uroczyste. Brzmiały jak wyznanie religji, pogańskiej jeśli chcecie, ale wcielonej w jej żywą postać.

— Więcej nie było — dodała z wielkim żalem w głosie. — Był to jedynie strzępek gazety. Thoreau jednak wydał mi się mądrym człowiekiem. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o nim.

Umilkła na chwilę. I przysięgam wam, że twarz jej przybrała wyraz prawdziwej świętości w następnej chwili, kiedy powiedziała:

— Byłabym dlań dobrą żoną.

Mówiła potem dalej.

— Po przeczytaniu tego urywka zrozumiałam, co się działo ze mną. Byłam *zrodzoną w mrokach nocy*. Ja, która żyła dotąd z dziećmi dnia byłam córą nocy. Oto dlaczego nie wystarczało mi gotowanie i zmywanie naczyń. Ztąd właśnie wypływała moja tęsknota do nagości i szalonego biegu w promieniach księżycowej poświaty. Zrozumiałam wówczas, że mała garkuchnia z Juneau nie była odpowiedniem dla mnie siedliskiem. Postanowiłam ją porzucić. Spakowałam pewnego dnia nieliczne manatki i wyszłam. Jake zauważył to i próbował mnie zatrzymać.

— Co chcesz zrobić? — spytał.

— Daję ci rozwód i sama go biorę, — odparłam. — Tęsknię za puszcza leśną, do której należę.

— Nie, nie zrobisz tego — odpowiedział, chwytając mnie za rękę. — To gotowanie uderzyło ci do głowy. Pomów ze mną jeszcze zanim pójdziesz i zrobisz głupstwo. Usłuchaj mnie. Pomów ze mną.

Wówczas wyjęłam broń, mały polerowany rewolwer Colta.

— Chyba przez tę tubę, — rzekłam i porzuciłam go.

Trefethan wychylił szklanke i zażądał nowej.

— Słuchajcie teraz co zrobiła ta dziewczyna. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata. Uplynęły wśród rondli i patelni. O świecie wiedziała tyleż ile ja o czwartym czy piątym wymiarze. Wszystkie drogi jednakowo prowadziły ją do celu. Nie myślała o dancingach i domach zabawy. Chciała podróżować. Po Alasce lepiej jest podróżować łodzią. Udała się więc na pobrzeże. W tym czasie właśnie jakaś łódź indyjska odpływała do Dyea. Zwyczajne czolno, wicie jakie, wyżłobione z jednego pnia, wąskie i głębokie o długości przeszło sześćdziesięciu stóp. Dała Indianom kilka dolarów. Zabrali ją z sobą.

— *Bajka*, — mówiła mi — zaczynała się właśnie dla mnie. W łodzi znajdowały się trzy rodziny Indyjskie. Była przepelniona po brzegi. Psy i dzieci indyjskie pełzały po dnie. Każdy zaś z wiosłarzy popychał czolno ile tylko miał sił. Dookoła piętrzyły się majestatyczne góry, nad którymi przepływały ciężkie zwały chmur. Świeciło słońce. Była cisza. Błoga, wielka cisza. Raz tylko dostrzegłam w oddali dym obozowiska myśliwych, wlokący się cieniutką



strugę pomiędzy drzewami. Była to jakby majówka, wielka wspaniała majówka. Widziałam jak ziszczały się moje marzenia. Czułam, że lada chwila zdarzy się coś niezwykłego. Przewidywania moje były słuszne.

— Pierwszy postój wypadł na małej wyspie. Rozbiliśmy namioty. Chłopcy łowili w zatoce ryby za pomocą oszczepów. Jeden z myśliwych zastrzelił dużego jelenia. Wszędzie rosły wonne kwiaty. Zdała od wybrzeża znajdowały się łąki, pokryte trawą, sięgającą do ramion, bujną. Poszłam wraz z dziewczętami. Wspięliśmy się na zbocza gór. Zbierałyśmy jagody i korzonki, które miały smak cierpki ale były dobre do jedzenia. Zdybałyśmy tam niedźwiedzia. Żerował na jagodach. Zobaczywszy nas mruknął „uf“ i umknął nie mniej od nas przerażony. A potem pamiętam obóz i dym ogniska i nęcący zapach świeżo upieczonej zwierzyny. Wszystko to było cudowne. Nareszcie przyłączyłam się do dzieci nocy. Wiedziałam, że należę do nich. Po raz pierwszy w życiu udałam się na spoczynek z poczuciem błogiej szczęśliwości. Zasypiając patrzyłam przez otwór namiotu na gwiazdy, promieniejące nad wysoką górską krawędzią, słuchałam czarownych głosów nocy. Wiedziałam, że to samo będzie jutro i następnego dnia i już zawsze, zawsze, gdyż postanowiłam nie powrócić do miasta. Nie powróciłam też nigdy.

*Bajka?* Miałam ją nazajutrz. Musieliśmy przepłynąć wielką zatokę morską, o szerokości dwunastu czy piętnastu mil. W połowie podróży zaskoczyła

nas burza. Tej samej nocy jednak wraz z psem-wilkiem wydostałam się na pobraże. Zostałam sama jedna przy życiu.

— Wyobraźcie sobie teraz tę przygodę — mówił Trefethan. — Wąskie czołno zatoneło. Wszyscy Indianie zginęli. Ona jedna ocalała. Dobiła do brzegu, trzymając się ogona płynącego psa, omijając niebezpieczne skały. Wygramoliła się takim sposobem na małe piaszczyste wybrzeże.

— Na szczęście był to ład stały — opowiadała. — Skierowałam się wówczas wprost przed siebie. Szłam, dokąd prowadziły mnie oczy, przez lasy i góry. Szukałam i wiedziałam że znajdę. Nie odczuwałam żadnego lęku. Byłam córą nocy i puszcza nie mogła mnie zabić. Nazajutrz znalazłam to coś. Napotkałam wśród lasu małą polanę, na której wznosiła się nawpół rozwalona chata. Musiała być opuszczoną już od wielu lat. Dach zapadł się. Na tapczanach leżały przegniłe koldry, a w kuchni stały zardzewiałe rondle i patelnie. Nie to jednak było najdziwniejszem. Wie pan, co znalazłam na skraju lasu, za chatą? Leżały tam szkielety ośmiu koni, z których każdy przywiązany był do drzewa. Sądzę, że zginęły z głodu i pragnienia. Każdy koń zapewne miał przytroczony do grzbietu ładunek. Znalazłam je. Leżały między kośćmi szkieletów. Były to worki z kolorowego płótna. Jak pan sądzi? Co zawierały te worki?

Tu przerwała opowiadanie. Sięgnęła ręką w głąb posłania i wyjęła skórzany worek. Rozwinęła



węzel i na moje dłonie poczęło się sypać złoto. Cały potok złota. Były tam duże bryłki i drobniejsze, trochę grubszego piasku, przeważały jednak bryłki, wielkości orzecha, świeże i surowe zupełnie, nie wykazujące żadnych śladów przepłukiwania.

— Mówisz pan, że jesteś inżynierem górnikiem — rzekła — i że znasz dobrze ten kraj. Proszę mi zatem powiedzieć skąd pochodzi złoto tej barwy.

Nie, nie mogłam tego określić. W każdym bądź razie bryłki nie wykazywały domieszki srebra. Było to czyste, rodzime złoto. Tak też powiedziałam.

— Wiem o tem — rzekła. — Za uncję dawano mi dwadzieścia dolarów. Tymczasem za złoto z Minook nie osiąga się nawet osiemnastu, zaś złoto z Eldorado kosztuje tylko siedemnaście. Oto co znalazłam w workach, między kośćmi końskich szkieleatów. Sto pięćdziesiąt funtów rodzimego złota.

— Ależ to jest ćwierć miliona dolarów, — wykrzyknąłem.

— Tak też obliczałam mniej więcej — odparła. — Mówmy więc o *Bajce*. Taki oto skarb znalazłam w ciągu trzech dni mej włóczęgi ja, która przez wszystkie lata mego życia byłam tylko niewolnicą. Ale cóż się stało z ludźmi, co wydarli to złoto z głębi ziemi? Często, ach często myślałam o nich. Zostawili swoje konie, okulbaczone i związane, poczem znikli nagle z powierzchni ziemi, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. O losie ich nie

dowiedziałam się nigdy. Nikt nie mógł mi nic powiedzieć o tych ludziach. Ja jednak uważałam, że będąc córą nocy jestem ich prawowitą dziedziczką.

Trefethan przerwał znów opowiadanie aby zapalić cygaro.

— Czy wiecie co zrobiła ta 'dziewczyna? Oto ukryła znalezione złoto, wyjąwszy trzydziestu funtów, które zabrała z sobą na wybrzeże. Zatrzymała przepływającą łódź i udała się do Dyea. Tam oporządziła się, odpoczęła, poczem wyruszyła na przełęcz Chilcoot. Było to w roku 1888, na osiem lat przed odkryciem Klondyke. Cały Yukon był wówczas dziką puszczą. Bała się bandytów, wzięła więc dwie kobiety indyjskie i wraz z nimi przebyła jeziora, a potem udała się w dół rzeki na łąki i pastwiska niższego Yukonu. Przez kilka lat błądziła tak po kraju i wtedy właśnie spotkałem ją podczas mej włóczęgi. Lubiła te dzikie okolice. Lubiła, jak mówiła patrzeć na wielkie byki-karibu brnące po kolana wśród purpurowych irysów doliny. Przystała wreszcie do Indjan. Leczyła ich, zdobywała sobie ich zaufanie, aż wreszcie stopniowo roztoczyła nad nimi nieograniczoną władzę. Raz tylko jeden porzu ciła ten kraj. Z nielicznym orszakiem Indjan przebyła przełęcz Chilcoot, wykopała swój skarb i przywiozła go do obozu.

— I oto jestem tu, cudzoziemcze — zakończyła swą opowieść, — a tutaj znajduje się mój skarb najdroższy.



Przy tych słowach zdjęła z szyi mały woreczek z jeleniej skóry, wyglądający jak amulet. Rozwinęła go. Tkwił tam, zawinięty w zatłuszczony skrawek jedwabiu, pożółkły od starości i zniszczony strzępek gazety z urywkiem utworu Thoreau.

— Ale czy czuje się pani szczęśliwą teraz? — spytałem. — Wszak posiadając ćwierć miliona dolarów majątku nie potrzebowałaby pani pracować nawet w Stanach. Czy życie to daje pani zadowolenie?

— Nie, nie zupełnie — odparła po chwili namysłu. Nie chciałabym wprawdzie zamienić swego losu z żadną kobietą Stanów. Tutaj znajduje się moja prawdziwa ojczyzna której jestem dzieckiem. Bywa jednak czasem — tu wydało mi się, że w oczach jej błysnął głód tęsknoty — bywa niekiedy, że życzę temu Thoreau wszystkiego najgorszego.

— I czemuż to? — spytałem.

— Bo chciałabym go poślubić. Czuję się tak bardzo samotną. Jestem przecież tylko kobietą, prawdziwą kobietą. Słyszałam wprawdzie o kobietach, które podobnie jak ja udały się na włóczęgę, dokonywały śmiałych czynów, służyły w wojsku i marynarce. Ale to były inne kobiety. Miały w sobie więcej męskości niż kobiecości. Wyglądały raczej na mężczyzn i nie miały wcale zwykłych kobiecych potrzeb. Nie potrzebowały miłości. Nie wzruszała ich myśl o dzieciach, zasypiających w ich ramionach, czy igrających przy ich kolanach. Nie jestem

taką. Sąd o tem zresztą pozostawiam tobie, cudzoziemcze. Czy wyglądam na mężczyznę?

Nie, nie wyglądała zupełnie. Była kobietą. Piękną, ciemnoskórą kobietą o jędrnych, zaokrąglonych kształtach. Jej szafirowe oczy były cudownie kobiece.

— Czyż nie jestem kobietą? — pytała. — Jestem nią. Jestem kobietą w każdy calu. Sama się dziwię doprawdy, że choć we wszystkim innym jestem córą nocy, w pożądaniach mych jestem zwykłą kobietą. Sądzę [jednak, że odpowiada mi najlepiej mężczyzna o tych samych upodobaniach. Oto jak było przez te wszystkie lata.

— Pani chce powiedzieć... — rzekłem.

— Nigdy, — przerwała i oczy jej spojrzały w moje z całą prostotą prawdy. — Miałam tylko jednego męża. Przypuszczam, że dotychczas prowadzi swą garkuchnię w Juneau. Nazywałam go „wołem“. Jeśli kiedykolwiek znajdzie się pan w Juneau, wówczas proszę mu się przyjrzeć i osądzić, czy nazwa ta jest właściwą.

Uczyliem to w dwa lata potem, za bytnością w Juneau. Widziałem jej męża. Był to rzeczywiście prawdziwy wół. Obserwowałem z pod oka tego krzepkiego mężczyznę, jak krzątał się po garkuchni, obsługując gości.

— Powinnaby panu pomóc żona — zauważyłem.

— Miałem już kiedyś żonę — odparł.

— Jest pan wdowcem?

— Tak. Ale żona moja zwarjowała. Zawsze



utrzymywała, że gorąca atmosfera kuchni pozbawi ją kiedykolwiek zmysłów. Tak też się stało. Pewnego dnia wycelowała we mnie rewolwer i uciekła w łodzi wraz z Siwaszami. Czółno wywróciło się na zatoce i wszyscy zginęli.

Trefethan zamilkł i na chwilę całą uwagę poświęcił swej szklance.

— No, dobrze — wtrącił Milner — a cóż się stało z dziewczyną? Przerwałeś opowiadanie właśnie w tym miejscu, w którym poczynało się stawać interesującym, Czyż nie mam racji?

— Rzeczywiście — potwierdził Trefethan. — A więc, jak mówiła sama, była dziką we wszystkim, wyjąwszy pociągu naturalnego. Pragnęła jednak męża tych samych upodobań. Była bardzo miła w swej prostocie. Wyraziła życzenie abym stał się jej mężem.

— Cudzoziemcze — rzekła pewnego razu. — Podobasz mi się. Lubisz dziki tryb życia, inaczej nie zabrnąłbyś aż tutaj, próbując przebyć Góry Skaliste o tej porze roku. Kraj ten jest dobrym. Mało znajdziesz równych mu na świecie. Dlaczegożbyś nie miał się tu osiedlić? Będę ci dobrą żoną.

To mnie zaskoczyło. Widziałem, że czekała na odpowiedź. Nie potrzebuję was zapewniać, że propozycja jej kusila mnie. Byłem nawpół zakochany w tej kobiecie. Wiecie zaś, że nigdy nie miałem żony. I teraz nawet, spoglądając wstecz na moje życie, nie potrzebuję dodawać, że była ona jedyną, do której zapalałem prawdziwym uczuciem. Ale

wszystko to razem wydało mi się nagle zbyt niedorzecznem. Zachowałem się więc jak gentleman i skłamałem. Powiedziałem, że jestem żonaty.

Przyjęła to spokojnie.

— Żona czeka pańskiego powrotu? — spytała.

Przytaknęłam.

— Kocha pana?

Potwierdziłem.

To było wszystko. Nigdy już więcej nie poruszyła tej sprawy ze mną, wyjąwszy jednego razu, ale wtedy była to pogróżka.

— Gdybym wyrzekła jedno słowo — powiedziała — wówczas nigdy nie opuściłbyś tego kraju. Jeśli wypowiem to słowo — zostaniesz. A jednak milczę. Nie chciałabym pożądać cię wbrew twej woli, szczególnie zaś gdybyś mnie wogóle nie chciał.

Poleciała przygotować wszystko potrzebne dla mej podróży. Wyruszyła wraz ze mną, aby mnie odprowadzić.

— Wstydzę się to mówić, cudzoziemcze — rzekła na pożegnanie. — Ale podobasz mi się. Lubię cię. Jeśli kiedykolwiek zmienisz swe poglądy, wtedy wróć do mnie.

Miałem jeszcze jedno życzenie. Pragnąłem pocałować ją przed rozstaniem. Wahałem się jednak. Nie wiedziałem jak to przyjmie. Powtarzam. Byłem nawpół zakochany. Ona jednak nieoczekiwanie zupełnie sama rozstrzygnęła tę sprawę.



— Pocaluj mnie — rzekła. — Chcę cię wspominać.

Pocalowaliśmy się więc, stojąc wśród śniegu, w tej dzikiej dolinie Skalistych Gór. Udałem się potem wślad za memi psami, ale widziałem ją jak stała długo jeszcze. Całe sześć tygodni przedzieralem się przez przełęcz, aż wreszcie dobrnałem do pierwszych stacyj Wielkiego Niewolniczego Jeziora.

Daleki hałas ulicy nagle wdarł się w nasze uszy jak przykry zamęt. Kelner, sunący bezszelestnie po gładkiej posadzce, wniósł świeże syfony wody sodowej. I nagle znów odezwał się głos Trefethana. Zabrział jak dzwon cementarny.

— Powinienbym był raczej zostać. Spójrzcie jak wyglądam.

Ujrzeliśmy siwe wąsy i błyszczącą łysinę, worki pod oczami i zapadłe policzki, ciężki podbródek, ogólne zmęczenie i otyłość, cały upadek i ruinę człowieka, który niegdyś był silny, ale żył zbyt lekko i zbyt dobrze.

— Ależ, słuchaj stary — ozwał się prawie szeptem Bardwell. — Przecież na to nie jest jeszcze za późno.

— Przebóg! Chciałbym mieć nieco odwagi — zabrzał w odpowiedzi głos Trefethana. — Mógłbym przecież wrócić do niej. Lucy i teraz jeszcze żyje w tamtym kraju. Może odzyskałbym dawne siły i żyłbym z nią razem jeszcze wiele lat. Pozostawanie tutaj równa się samobójstwu. Ale jestem już zbyt stary. Czterdzieści siedem lat. Spójrzcie na

mnie. Cała rzecz jednak polega na tem — tu podniósł szklanke i spojrzal pod światlo — polega na tem, że samobójstwo tego rodzaju przychodzi z łatwością. Jestem zniedołężniały. Myśl o długotrwałej podróży z psami przyprawia mnie o strach. Samo wspomnienie o przejmującym mrozie poranków i o zlodowaciałych płozach sań przerażała mnie.

Automatycznym prawie ruchem odjął szklanke od warg. Przez chwile zdawało się, że chce cisnąć ją na podłogę. W następstwie jednak zreflektował się. Szklanka znów dotknęła jego ust i zatrzymała się. Roześmiał się gorzko. Ale słowa, które wymówił były uroczyste.

— Dobrze więc. Oto piję za *Córę Nocy*, która była jedyną *Bajką* mego życia.



## SZALEŃSTWO JOHNA HARNED.

Opowiadam tu o zdarzeniu prawdziwym. Wypadek ten rzeczywiście miał miejsce w Quito, w amfiteatrze dla walki byków. Siedziałem w jednej łoży z Johnem Harned i Marją Valenzuela i Luisem Cervallos. Widziałem wszystko własnymi oczami. Widziałem od początku do końca. Znajdowałem się też na pokładzie statku „Ecuadore“, w przeciągu całej jego podróży z Panamy do Gwajakwilu. Marja Valenzuela jest moją kuzynką. Znam ją oddawna. Jest bardzo piękna. Ja zaś, pomimo że pochodzę z Ekwadoru jestem Hiszpanem. Wiodę swój ród od niejakiego Pedro Patino, który jak wiadomo był jednym z oficerów Pizarra. Byli to mężni ludzie. Bohaterowie. Czyż Pizarro nie poprowadził trzystu pięćdziesięciu hiszpańskich kawalerzystów i cztery tysiące indjan w głąb Kordyljerów na poszukiwanie skarbów? I czyż wśród tych bezowocnych poszukiwań nie padło trupem cztery tysiące indjan i trzystu kawalerzystów? Ale Pedro Patino nie zginął. Przetrwał wszystko i stał się założycielem rodu Patinów. Jestem więc Hiszpanem, aczkolwiek pochodzę z Ekwadoru. Nazywam się Manuel de

Jesus Patino. Jestem właścicielem licznych hacjend oraz dziesięciu tysięcy Indjan — niewolników, chociaż według prawa są oni ludźmi wolnymi, pracującymi na zasadzie kontraktu. Ale prawo jest zabawną rzeczą. My Ekwadoczczyki śmiejemy się zeń. To jest nasze prawo. Dyktujemy je sami sobie. Jestem Manuel de Jesus Patino. Zapamiętajcie sobie to nazwisko. Kiedyś zapisze je na swych kartach historia. W Ekwadorze przecież bywają rewolucje. Nazywamy je wyborami. Dobry żart, nieprawda? To coś, co u was nosi miano kalamburu.

John Harned był Amerykaninem. Spotkałem go po raz pierwszy w hotelu „Tivoli“ w Panamie. Miał dużo pieniędzy. Mówiono tak przynajmniej. Udawał się do Limy, ale spotkał Marję Valenzuela w hotelu Tivoli. Marja Valenzuela jest moją kuzynką i doprawdy bardzo piękną. Jest niewątpliwie najpiękniejszą z kobiet Ekwadoru. Zyska jednak miano najpiękniejszej w każdym innym kraju. W Paryżu, Madrycie, Nowym Yorku czy Wiedniu. Zawsze wszyscy mężczyźni pozerają ją wzrokiem. Widziałem, że tam, w Panamie, John Harned długo patrzył na Marję Valenzuela. Kochał ją. Wiem o tem z pewnością. Pochodziła z Ekwadoru, ale równie dobrze mogła należeć do wazystkich krajów. Była obywatelką całego świata. Władza wieloma językami. Śpiewała. Ha! Jak prawdziwa artystka. Uśmiech jej był niezapomniany, boski. A oczy? Czyż nie widziałem jak mężczyźni topili w nich swój wzrok? Były, jak to mówią Anglicy, zdumiewające. Zapowia-



dały rozkosze raju. Mężczyźni tonęli w ogniu jej zrenic.

Marja Valenzuela była przytem bogatą, bogatszą nawet odemnie, znanego w Ekwadorze bogacza. Ale John Harned nie łaszczyl się na jej pieniądze. Miał serce. Bardzo dziwne serce. Był szalonym. Nie pojechał do Limy. Opuścił statek w Gwajakwilu i podążył do Quito. Marja Valenzuela powracała wówczas z Europy oraz innych krajów. Nie wiem, co widziała w tym człowieku. Podobał się jej jednak. Wiem o tem z pewnością. Inaczej John Harned nie pociągnąłby za nią do Quito. Sama mu to proponowała. Pamiętam bardzo dobrze jak się to odbyło.

— Proszę pojechać ze mną do Quito — powiedziała. — Pokażę panu sport wymagający wiele odwagi i zręczności, wspaniały sport — walkę byków.

Na to on odparł:

— Jadę przecież do Limy, nie do Quito. Taki przynajmniej mam cel podróży.

— Jedzie pan wszak dla przyjemności? — zagadnęła Marja Valenzuela.

I mówiąc to spojrzała nań tak, jak tylko Marja Valenzuela spoglądać mogła. Oczy jej były pełne płomienniej obietnicy.

Pojechał. Ale nie dla walki byków. O, bynajmniej. Pojechał jedynie dlatego, że zapragnął zdobyć to, co dostrzegł w jej oczach. Takie kobiety jak Marja Valenzuela rodzą się raz na sto lat. Nie na-

leżą do żadnego kraju ani do żadnej określonej epoki. Są, że tak powiem, uniwersalne. To nie kobiety, lecz boginie. Mężczyźni padają plackiem do ich stóp. One zaś traktują mężczyzn jako igraszkę i przebierają wśród nich jak w piasku swemi pięknymi paluszkami. Mówią, że taką właśnie kobieta była Kleopatra. Również i Cyrce. Ta ostatnia przedziergała mężczyzn w świnie. Ha! Ha! Było wszak tak, nieprawda?

A wszystko to zdarzyło się jedynie na skutek rozmowy Marji Valenzuela z Johnem Harned.

— Wy Anglicy — mówiła — jesteście, jakby to powiedzieć? No, barbarzyńcami. Lubicie boks. Dwaj mężczyźni tłuką się pięściami, póki jeden drugiego nie oślepi albo nie złamie mu nosa. To jest wstrętne widowisko. A jednak widzowie patrzą na to z lubością i głośno wrzeszczą z radości. Czyż nie jest to barbarzyństwem?

— Ale boks jest sportem męskim — odparł John Harned. — Mężczyźni ci walczą dla własnej przyjemności. Nikt ich przecież nie zmusza. Boksują się, bowiem daje im to najwyższe zadowolenie.

Marja Valenzuela zauważyła wówczas nieco wzgardliwie.

— Często też zabijają się podczas walki. Wszak prawda? Czytałam o tem w gazetach.

— A walka byków?—zapytał John Harned. — Przecież tam zawsze byk ginie na arenie. Wychodzi zaś w szranki bynajmniej nie dla własnej przyjemności. Z bykiem postępuje się nieuczciwie. Zmusza



się go do walki. Człowiek — bokser zaś walczy z własnej woli.

— W takim więc razie postępuje jak nierozsądne bydło — rzekła Marja Valenzuela. — Jest dzikiem. Jest człowiekiem pierwotnym. Powiem nawet więcej. Jest zwierzęciem. Puszczą w ruch łapy zupełnie jak niedźwiedź jaskiniowy i jest okrutny. Walka byków to co innego. Ach! Pan nigdy nie widział walki byków, co? Toreador jest zręczny. Musi posiadać wielką biegłość. Jest nawskroś nowoczesny i romantyczny. Jest tylko człowiekiem, istotą słabą i wątłą. Spotyka się oko w oko z dzikim bykiem. Zadaje mu cios śmiertelny cienką szpadą. Jednym pchnięciem przeszywa serce bestji. Jest to przepiękny widok. Serce bije żywiej w piersi, kiedy się widzi małego człowieka i wielką bestję, szeroką równię areny i tysiące ludzi, wstrzymujących oddech i śledzących zapasy. Olbrzymi zwierz rusza do ataku. Mały człowiek stoi jak posąg. Nie porusza się wcale. Jest nieustraszony. W dłoni jego tkwi cienka szpada, migocząca w promieniach słońca jak srebro. Coraz więcej zbliża się wielki zwierz, zbrojny w parę ostrych rogów. Człowiek nadal trwa w bezruchu. Nagły błysk szpady. Dokończyło się. Byk z przebitym sercem pada na piasek areny. Zwierz ginie, a człowiek wychodzi bez szwanku. Jest mężny. Jest wspaniały. Ach, czuję doprawdy, że mogłabym zakochać się w torladorze. Natomiast bokser jest dla mnie tylko zwierzęciem, dzikiem i pierwotnym ludzkim zwierzęciem, szaleńcem, który z naiwyzszem

zadowoleniem podstawia swoją głupią twarz pod ciosy. Proszę pojechać ze mną do Quito. Tam pokażę panu sport wymagający prawdziwej odwagi, sport męski, walkę toreadora z bykiem.

Ale John Harned nie pojechał do Quito dla walki byków. Pojechał tam wyłącznie dla Marji Valenzuela. Był on ogromnym mężczyzną, dużo szerszym w plecach od nas Ekwadorczyków, wyższym o wiele i silniejszym w nogach i kości. Zaręczam, że był silniejszym niż większość ludzi z jego własnej rasy. Miał oczy barwy błękitnej. Widziałem jednak, że czasami zmieniały się. Bywały szare, albo zgoła barwy ołowiu. Twarz jego była zawsze wygolona gładko jak u księdza. To było zabawne. Dlaczego właściwie mężczyzna ma się wstydzić zarostu na twarzy? Czyż zarost nie jest dziełem Boga? Tak, wierzę w Boga. Nie jestem poganinem, jak wielu z was, Anglików. Bóg jest dobry i wie co czyni. Stworzył mnie Ekwadorczykiem i dał mi dziesięć tysięcy niewolników. A kiedy umrę Bóg przyjmie mnie do raju. Tak, księża mają rację.

Inaczej John Harned. Był on spokojnym człowiekiem. Mówił cichym głosem. Nigdy nie gesty kulował podczas rozmowy. Można było pomyśleć, że miał kawał lodu w piersi zamiast serca. A jednak posiadał chyba we krwi odrobinę ciepła, skoro pojechał do Quito wraz z Marją Valenzuela. Ale choć głos jego był cichy, a ręce nle gestykulowały, John Harned był zwierzęciem. Zobaczycie to sami. Był bestją pierwotną, głupim i okrutnym barbarzyńcą



dawnych wieków, kiedy ludzie ubierali się w skóry zwierzęce i mieszkali w jaskiniach, pospołu z niedźwiedziami i wilkami.

Luis Cervallos jest moim przyjacielem. To najlepszy z Ekwadorczyków. Posiada trzy plantacje drzew kakaowych w Naranjito i Chobo. W Milegro należy doń wielka plantacja trzciny cukrowej. Ma także rozległe hacjendy w Ambato i Latacunga, zaś na wybrzeżu zaangażowany jest poważnie w kopalniach nafty, a w Guayas inwestował wielkie sumy w plantacjach kauczuku. Jest nawskroś nowoczesny jak Yankee i jak każdy Yankee pełen pomysłów. Jest bardzo bogaty, ale kapitały jego tkwią w licznych przedsiębiorstwach. Potrzebuje ciągle nowych kapitałów dla nowych przedsiębiorstw i oczywiście dla starych. Był już wszędzie i widział wszystko. Jako młodzieniec był uczniem wojskowej akademii amerykańskiej, która u was nosi miano West Point. Wybuch rozruchów zmusił go do wystąpienia stamtąd. Nie lubi zresztą Amerykanów. Lubił zato Marję Valenzuela, która była jego rodaczką. Potrzebował też jej posagu dla nowych licznych przedsiębiorstw oraz kopalni złota, obfitej ale wymagającej znacznego nakładu zanim stanie się wydajną. Gdyby Luis Cervallos poślubił Marję Valenzuela, dostałbym odrazu bardzo dużo pieniędzy.

Ale Marja Valenzuela przyjechała do Quito, z Johnem Harned. Obydwaj, Luis Cervallos i ja, rozumieliśmy dobrze, że jest dlań przychylną. Mówią, że kobieta zawsze musi postawić na swoim. Tu

jednak przysłowie to nie ma zastosowania. Pomimo wszystko Marja Valenzuela nie miała zamiaru poślubienia Johna Harned. Może więc wszystko zdarzyłoby się tak samo, nawet gdybyśmy wraz z Luisem Cervallos nie zasiedli tego dnia w łoży amfiteatru w Quito. To ostatnie jednak jest pewnem. *Siedzieliśmy* tego dnia razem w łoży. *A* teraz opowiem wam co się wówczas zdarzyło.

W łoży siedzieliśmy we czterech. Byliśmy gośćmi Luisa Cervallos. Ja zajmowałem miejsce tuż obok łoży prezydenta. Po drugiej stronie znajdowała się łoża generała José Eliceo Salazar. Siedzieli w niej sam generał oraz dwaj inni generałowie Joaquín Endura i Urcissino Castello, pułkownik Jacinto Fierro i kapitan Baltazar de Echeverria. Aby mieć łożę obok łoży prezydenta trzeba było posiadać stanowisko i wpływy Luisa Cervallos. Wiem zresztą bardzo dobrze, że prezydent sam wyraził zarządowi amfiteatru życzenie aby Luis Cervallos otrzymał tę właśnie łożę.

Umilkły dźwięki ekwadorskiego hymnu narodowego. Parada toreadorów skończyła się. Prezydent dał znak. Zabrzmiały trąby i byk wypadł na arenę. Wicie jaki, rozjątrzony i podniecony szalenie. Strzały tkwiące w jego karku tłały. Szukał wścieklemi oczami nieprzyjaciela. Toreadorowie ukryli się za swemi schronami i czekali. Niebawem wystąpili kapadorowie. Pięciu ich zbliżyło się do byka, powiewając swemi płachtami. Byk przystanął na widok takiej zuchwałości wrogów. Nie mógł się zdecydo-



wać na którego z nich ma uderzyć. Wówczas jeden z kapadorów wystąpił aby zwrócić uwagę zwierzęcia. Był to bardzo zły byk. Przednimi nogami począł kopać piasek areny, tak że podniosła się chmura pyłu. Wtedy dopiero zniżył głowę i uderzył wprost na samotnego kapadora. Pierwszy atak pierwszego byka jest zawsze zajmujący. Zrozumiałem jest że później widzowie nużą się temi błahostkami, a uwaga traci na baczości. Ale ten pierwszy napad pierwszego byka! John Harned widział to po raz pierwszy i nie mógł przeto uniknąć podniecenia na widok samotnego człowieka, uzbrojonego tylko w kawał szmaty, którego atakował ostremi rogami straszny byk.

— Widzi pan? zawołała Marja Valenzuela — Przecież to jest wspaniałe.

John Harned przytaknął, ale nie spojrział nawet na nią. Oczy iskrzyły mu się. Całą jego uwagę pochłoneła arena. Kapador uskoczył, zwodząc byka płachtą i przeciągając ją przez grzbiet zwierzęcia.

— Co pan sądzi o tem? — pytała Marja Valenzuela. — Czyż nie jest to, jak mówicie w Stanach, wyczyn sportowy?

— Istotnie — odparł John Harned. — To było bardzo zręcznie zrobione.

Marja Valenzuela zaklaskała. Miała małe, delikatne dłonie. Wszyscy widzowie bili brawa. Byk zawrócił i znów kapador uniknął rogów, zarzucając płachtę na grzbiet zwierzęcia i znów cały amfiteatr

huczał od oklasków. Powtórzyło się to trzykrotnie. Kapador był doskonałym znawcą swego fachu. Ustąpił wreszcie i drugi kapador począł igrzać z bykiem. Potem zatknęto mu banderille. Jak zwykle. Po jednej u każdej łopatki i to jednocześnie. A potem wystąpił Ordenez, głośny matador, z długą szpadą i szkarłatnym płaszczem w rękę. Trąby podały sygnał śmierci. Ordenez nie był mistrzem tej miary co Matestini, był jednakże bardzo zręczny. Jednym ciosem utopił szpadę w sercu zwierzęcia. Byk zgiął kolana, runął na piasek i skonał. Był to ładny cios, czysty i pewny. Zyskał też dużo oklasków i wielu prostaków z publiczności rzuciło na arenę kapelusze. Marja Valenzuela klaskała wraz z innymi, ale John Harned, którego lodowatego serca nie poruszyło wcale to widowisko, spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Pani się to podoba? — zapytał.

— Bardzo — odparła, klaszcząc wciąż w dłonie.

— Pamiętam — rzekł Luis Cervillos, — kiedy jako małe dziewczątko jeszcze przyszła po raz pierwszy do amfiteatru. Miała wtedy zaledwie cztery lata. Siedziała wraz z matką. Klaskała i cieszyła się zupełnie tak samo jak dzisiaj. Jest prawdziwą Hiszpanką.

— Widział pan teraz? — spytała Marja Valenzuela, kiedy muły wywlokły ciało zabitego byka z areny, — Podoba się panu walka byków, prawda? Co pan sądzi o niej?



— Myślę — odpowiedział — że byk niema żadnych widoków zwycięstwa. Byk z góry skazany jest na zagładę. Wynik stoi po za wszelką wątpliwością. Zanim jeszcze byk ukaże się na arenie, każdy wie, że zwierzę musi umrzeć. W każdym sporcie wynik jest zawsze wątpliwy. Tu zaś mamy tylko głupiego byka, który musi uderzyć na pięciu sprytnych ludzi, co walczyli już niejednokrotnie z bykami. Uczciwiej byłoby może, gdyby do walki z bykiem występował jeden tylko człowiek.

— Albo może jeden człowiek przeciwko pięciu bykom — odparła Marja Valenzuela. To pobudziło wszystkich nas do śmiechu. Najgłośniej śmiał się Luis Cervallos.

— Tak — rzekł John Harned, — jeden człowiek przeciwko pięciu bykom. I to taki, który równie jak i byki nigdy nie był jeszcze na arenie. Jak naprzykład senor Cervallos.

— A jednak my Hiszpanie lubimy walkę byków — wtrącił Luis Cervallos. I przysięgam, że sam djabeł podszeptał mu do ucha wówczas co ma zrobić potem,

— Macie zatem przerozafinowane gusta — rzekł John Harned. — Na rzeźni w Chicago zabija się byki tysiącami, a przecież nikt nie jest ciekaw jak się to robi.

— To na rzeźni — odezwałem się. — Ale tu na arenie mamy sztukę. Rzadką, subtelną sztukę.

— No nie zawsze — zauważył Luis Cervallos. —

Widziałem już niezdatnych matadorów. Wówczas walka byków nie sprawia żadnej przyjemności.

Wzdrygnął się nagle, a twarz jego przybrała wyraz niesmaku. Teraz pewien jestem, że to wtedy właśnie djabeł szeptał mu do ucha i zaczynał grać swą rolę.

— Senor Harned ma zapewne rację — rzekł Luis Cervallos, — Być może nie postępuje się uczciwie z bykiem. Wiemy wszak wszyscy że w ciągu całej doby nie dają mu wody, a dopiero bezpośrednio przed rozpoczęciem walki pozwalają napić się dowoli.

— I byk wkracza na arenę, obciążony nadmiarem wypitej wody — podchwycił szybko John Harned. Zauważyłem wówczas, że oczy jego przybrały barwę szarą, a spojrzenie ich było ostre i bardzo chłodne.

— Sport wymaga tego — odpowiedział Luis Cervallos. — Inaczej byk byłby tak silny, że mógłby pozabijać wszystkich toreadorów. Czy chciałby pan tego?

— Powinnoby mu się jednak dać jakąś szansę zwycięstwa — rzekł John Harned, spoglądając na arenę, na której ukazał się drugi byk.

Ten jednak był niedobry. Wydawał się przerażonym. Biegał dokoła areny, poszukując wyjścia. Wystąpili jak zwykle kapadorowie i poczęli potrząsać przed nim swemi płachtami. Ale byk nie przyjął wyzwania.



— To jakiś głupi byk — zauważyła Marja Valenzuela.

— Pani wybaczy — rzekł John Harned. Byk ten wydaje mi się raczej roztropnym. Wie że nie powinien napastować człowieka. Proszę spojrzeć. Byk węszy śmierć na arenie.

Było tak rzeczywiście. Byk zatrzymawszy się w miejscu, gdzie zginął jego poprzednik, wachał wilgotny piasek areny i parskał głośno. Zerwał się nagle i znów biegł dokoła areny, zadzierając łeb do góry i patrząc na tysiące widzów, którzy gwizdali nań i miotali przekleństwa, ciskając weń skórki pomarańczy. Zapach świeżej krwi rozjątrzył go wreszcie. Napadł na jednego z kapadorów tak nieoczekiwanie, że człowiek ledwie zdążył umknąć. Porzucił płachtę i ukrył się w swym schronie. Byk z trzaskiem zaatakował ogrodzenie areny. Wówczas John Harned rzekł spokojnie, jakby mówił do siebie.

— Dam tysiąc dolarów na szpital w Quito, jeśli byk rozszarpie dziś człowieka.

— Pan tak lubi byki? — spytała z uśmiechem Marja Valenzuela.

— Raczej nie lubię takich ludzi—odparł John Harned. — Toreador nie jest odważnym człowiekiem. Nie może nim być. Proszę zauważyć. Byk wywiesił już język. Jest zmęczony, choć właściwie walka nie zaczęła się jeszcze.

— Woda to sprawiła — rzekł Luis Cervillos.

— Tak, woda — odparł John Harned. — Walka z bykiem byłaby jeszcze mniej niebezpieczna,

gdyby zwierzęciu przed wypuszczeniem go na arenę krępowano nogi.

Marję Valenzuela rozgniewało szyderstwo słów Johna Harned. Ale Luis Cervillos uśmiechnął się. Był to uśmiech nieznaczny. Ale ja spostrzegłem go i zaraz sobie pomyślałem, że gra się zaczyna. Obydwaj mieliśmy stać się banderillerosami. Ogromny byk amerykański znajdował się w łoży wraz z nami. Zadaniem naszym było miotanie wień strzał tak długo aż się rozgniewa. Wówczas może związek jego z Marją Valenzuela nie dojdzie do skutku. To był doskonały sport. A proszę nie zapominać, że w żyłach naszych tętniła krew urodzonych poskramiaczy byków.

Byk na arenie był teraz podniecony i wściekły. Kapadorowie prowadzili z nim kunsztowną grę. Był zwinny. Niekiedy wykonywał tak błyskawiczne zwroty, że tylne nogi jego traciły równowagę. Przysłał wówczas na piasku. Uderzał jednak zawsze tylko w powiewające płachty i nie czynił szkody.

— Nie ma żadnej szansy — zauważył John Harned. — Walcz z powietrzem.

— Uważa płachtę za swego przeciwnika — tłumaczyła Marja Valenzuela. — Widzi pan jak chyttrze zwodzi go kapador?

— Taki jest już los byka — rzekł John Harned. — Zawsze go zwodzą. Dlatego też od samego początku skazany jest na walkę z powietrzem. Wiedzą o tem dobrze toreadorowie i publiczność, a i pani również. Wiem o tem ja, wszyscy zgóry wie-



my, że byk będzie walczyć z powietrzem. On sam tylko nic o tem nie wie. Jest głupiem zwierzęciem. Nie ma żadnej szansy.

— To jest zrozumiałe — rzekł Luis Cervallos. — Byk przed uderzeniem zamyka oczy. Dlatego też...

— Człowiek ustępuje mu z drogi i byk uderza w próżnię — dokończył John Harned.

— Tak — rzekł Luis Cervallos. — Zawsze się tak dzieje. Byk zamyka oczy. Człowiek wie o tem dobrze.

— Krowy jednak nie zamykają oczu — odparł John Harned. — Znam jedną taką krowę. Znajduje się w Stanach, ściślej w Jersey i jest bardzo dojna. Zaręczam że rozpędziłaby całą tę hałastę.

— Toreador nie walczy z krowami — wtrąciłem.

— Bo się boi — odrzucił John Harned.

— Bez wątpienia — rzekł Luis Cervallos. — Boi się krowy. Zabijanie toreadora nie wchodzi w zakres naszego sportu.

— Zdaje mi się jednak — mówił John Harned, — że byłoby to ciekawem, gdyby tak kiedy na arenie został zabity toreador. Na starość lub w razie kalectwa, kiedy będę musiał zarabiać na życie, wówczas nie będąc zdolnym do żadnej ciężkiej pracy, stanę się toreadorem. To jest właściwy sposób łatwego zarobkowania dla emerytów i starszych panów.

— Ależ niech pan spojrzy — rzekła Marja

Valenzuela. A właśnie byk zajadłe napadł na toreadora i człowiek uniknął go, zręcznie manewrując swą płachtą. — Niech pan spojrzy. Przecież unikanie óstrych rogów zwierzęcia wymaga nielada zręczność

— Istotnie — odparł John Harned. — Istotnie. Proszę mi jednak wierzyć, że tysiącrotnie większej zręczności wymaga unikanie licznych, a szybkich ciośców boksera, którzy nie zamyka oczu i prowadzi inteligentną walkę. Prócz tego ten byk wyraźnie nie chce walczyć. Niechże pani spojrzy. Byk ucieka.

Nie był to dobry byk. Znow biegł dokoła areny, poszukując wyjścia.

— A jednak byki bywają niekiedy bardzo groźne — rzekł Luis Cervallos. — Nigdy nie można przewidzieć co taki zły byk zrobi w następnej chwili. Są nader roztropne, Są to już *pół-krowy*. Zapaśnicy nie lubią ich. Patrz pan! Byk zawraca!

W samej rzeczy byk, widząc bezowocność swych wysiłków wydostania się po za ogrodzenie areny, znow atakował wrogów z całą furją.

— Wywiesił już język — rzekł John Harned.— Najprzód zmuszają go do opicia się wodą. Potem męczą rozmyślnie, każąc mu walczyć z powietrzem. Bierze w tem udział wielu ludzi. Jedni dręczą byka, inni odpoczywają. Byk zaś przez cały czas nie ma ani chwili odpoczynku. A kiedy jest wyczerpany już zupełnie, a nogi jego tracą elastyczność, wówczas występuje matador i razi go swą szpadą.

Przyszła kolej na banderillerosów. Trzy razy



jeden z nich próbował wsadzić strzały bykowi i trzy razy chybiał. Ranil tylko byka i drażnił go. Banderilleros występują jak wiadomo po dwóch razem. Zadanie ich polega na wbiciu bykowi strzał w łopatki. Po jednej z każdego boku i to jednocześnie. Jeśli wbito tylko jedną, jest to już uchybienie. Tłum gwizdał i wywoływał Ordoneza. I Ordenez pokazywał rzeczy nadzwyczajne. Cztery razy wybiegał na arenę i cztery razy, za jednym zamachem wbił strzały bykowi obie banderille. Wkrótce w grzbiecie byka tkwiło osiem doskonale umieszczonych strzał. Tłum szalał. Na piasek areny leciała cała ulewa monet i kapeluszy.

Ale wtedy właśnie byk zupełnie nieoczekiwanie natarł na jednego z kapadorów. Człowiek poślizgnął się i stracił głowę. Byk uderzył. Szczęśliwie się stało, że uderzył czołem, nie rogami. Poblizność milczała, czekając na wynik walki. Skamieniała ze zgrozy. Ale John Harned wstał i wrzeszczał z radości. Sam jeden. Podczas gdy my, wszyscy pozostali, zachowywaliśmy ciszę, John Harned wrzeszczał. Cieszyło go powodzenie byka. Widzicie więc sami, że John Harned *chciał* aby człowiek stracił życie. Do prawdy serce Johna Harneda było pełne złości. Jego haniebne zachowanie się rozgniewało gości generała Salazara. Krzyknęli głośno na Johna Harneda. A Ur-cissino Castillo powiedział mu w oczy, że jest psem gringo i inne rzeczy, gorsze jeszcze. Było to jednak powiedziane po hiszpańsku i John Harned nie rozumiał oczywiście ani jednego słowa. Stał i wrzeszc-

czał dalej może z dziesięć sekund, a może i więcej, aż wreszcie byk został zwabiony przez innych kapadorów, a człowiek wstał cały i zdrowy.

— Byk nie ma szansy — rzekł smutnie i u-  
siadł. — Człowiek nie odniósł nawet żadnej rany.  
Ocalili go inni, uprowadzając byka.

Potem zwrócił się do Marji Valenzuela.

— Przepraszam panią — odezwał się. — By-  
łem podniecony widokiem walki.

Uśmiechnęła się i za karę uderzyła go lekko  
po dłoni wachlarzem.

— Jest to pierwsza w pańskim życiu walka  
byków — rzekła. — Zobaczywszy ich więcej nie bę-  
dzie pan już życzyć śmierci człowiekowi. Widzi pan  
sam teraz, że wy Amerykanie jesteście brutalniejsi  
od nas. Jest to wpływ waszych bokserów. My przy-  
chodzimy do amfiteatru tylko po to aby zobaczyć  
jak się zabija byka.

— Chciałbym jednak aby i byk miał swoją  
szanse zwycięstwa — odparł. — Oczywiście pew-  
nem jest, że z czasem przestanie mnie denerwować  
widok ludzi, mających bezsprzeczną przewagę nad  
bykiem.

Znów odezwały się trąby. Zabrzmiał sygnał  
śmierci. Na arenę znów wystąpił Ordonez z szpadą  
i szkarłatnym płaszczem. Byk natarł nań, ale bez  
żadnej energii. W ataku jego nie wyczuwało się  
siły. Było to marne natarcie. Szpada matadora tra-  
fiła w kość i złamała się. Ordonez ujął wtedy świe-  
ży oręż. Byk, podniecany do walki, natarł nań znów.



Pięć razy Ordenez zadawał pchnięcie i za każdym razem szpada chybiała lub natrafiła na kość. Za szóstym razem szpada weszła w ciało po rękojeść. Ale było to bardzo niezdarne pchnięcie. Ostrze nie przeszło serca i wyszło o pół jarda dalej z drugiego boku. Widzowie wygwizdali matadora. Spojrzałem wówczas na Johna Harned. Siedział w milczeniu. Nawet nie drgnął. Widziałem jednak, że zęby jego zacisnęły się mocno, a palce dłoni kurczowo wparły się w poręcz łoża.

Choć cios nie był śmiertelny byk już nie nadawał się do walki. Krok jego był chwiejny i kulały z powodu szpady, która całem ostrzem tkwiła mu w ciele. Uciekł od matadora i kapadorów. Pędził teraz znów dokoła areny, zadzierając łeb do góry i patrząc w twarze widzów.

— Na litość boską wypuście mnie stąd. Nie chcę walczyć. Oto co mówi byk — zauważył John Harned.

To było wszystko co powiedział. Nie odezwał się już więcej. Siedział w milczeniu i patrzył na arenę. Ukradkiem jednak spoglądał na Marję Valenzuela, aby się przekonać jakie to na niej czyni wrażenie. Gniewała się bardzo na matadora. Był niezdara. Ona zaś pragnęła mistrzowskiego ciosu.

Byk był już bardzo wyczerpany. Upływ krwi osłabił go, chociaż rana nie była śmiertelna. Kroczył teraz wolno wzdłuż ogrodzenia, poszukując wyjścia. Nie chciał walczyć. Miał już dosyć. Musiał jednakże zginąć. Jest na szyi byka jedno takie miejsce,

gdzie szpik paciierzowy nie jest zabezpieczony dobrze. Małe pchnięcie spada w to miejsce zabija niezwłocznie. Ordonez stanął przed bykiem i zniżył do samej ziemi swój purpurowy płaszcz. Byk jednak nie chciał nacierać. Stał spokojnie i nachyliwszy głowę, wachał płaszcz. Wówczas Ordonez uderzył w słabe miejsce na szyi. Byk szarpnął łbem. Cios chybił. Ordonez ponowił cios i znów chybił. Powtórzał to wiele razy jeszcze, co było wprost głupiem.

John Harned nie odzywał się. Ordonez zadał wreszcie trafny cios i byk rozciągnął się na piasku martwy, poczem muły wywlekły go za ogrodzenie.

— Gringowie mówią, że jest to okrutny sport, nieprawda? — zapytał Luis Cervillos. — Mówią, że jest wstrętny, nieludzki w stosunku do byków, co?

— Nie — odparł John Harned. — Nie chodzi tu o byka. Chodzi o tych, którzy patrzą na walkę. Jest to widowisko poniżające. Wpaja ludziom zamiłowanie do dręczenia zwierząt. Pięciu ludzi napada na jednego byka. Jest to prawdziwe tchórzostwo. Ci, którzy na to patrzą sami stają się tchórzami. Byk wreszcie ginie, ale widzowie żyją dalej. Wzięli tylko lekcję. I należy przyznać, że widok tchórzostwa bynajmniej nie podsyca dzielności męskiej.

Marja Valenzuela nie rzekła ani słowa. Nie spojrzała nań nawet. Słyszała jednak wszystko bardzo dobrze. Widziałem, że policzki jej pobladły z gniewu. Patrzyła na arenę i wachlowała się. Widziałem jednak jak drżała jej ręka. John Harned również nie



patrzył na nią. Zachowywał się tak jakby nie było jej wcale. Też był gniewny, ale gniewny na chłódno.

— Jest to tchórzowski sport, dobry dla narodu tchórzów — odezwał się.

— Ach — przemówił aksamitnym głosem Luis Cervallos — senior sądzi, że rozumie nas?

— Rozumiem inkwizycję hiszpańską — odparł John Harned. — Musiało to być widowisko jeszcze więcej pociągające niż walka byków.

Luis Cervallos uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Spojrzał jednak na Marję Valenzuela i pewien był już wygranej w tej walce byków, toczącej się w loży. Nie chciała mieć nic do czynienia z Gringiem, który mówił takie rzeczy. Ale ani Luis Cerrallos ani ja nawet, nie przewidzieliśmy co z tego wyniknie. Widzę teraz, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć Gringów. Skądże mogliśmy wiedzieć, że John Harned, który dotąd gniewał się na chłódno, nagle i nieoczekiwanie oszaleje? Oszalał. Oszalał dosłownie. Przekonacie się o tem sami. Nie chodziło mu o byka. Sam to mówił. Dlaczegoż więc tak bardzo obchodził go koń? Tego nie jestem w stanie zrozumieć. Prawdopodobnie bieg myśli Johna Harneda pozbawiony był wszelkiej logiki. Jest to jedyne wytłumaczenie.

— W Quito zazwyczaj nie używają koni na arenie — rzekł Luis Cervallos, przeglądając program widowiska. — W Hiszpanji mają je zawsze. Dziś jednak, dzięki specjalnemu zezwoleniu, i my je zo-

baczmy. Przy następnym byku wystąpią konni pikadorowie. Wie pan, tacy toreadorowie, którzy mają włócznie i dosiadają wierzchowców.

— Byk zgóry skazany jest na śmierć — odparł John Harned. — Czy i koń również?

— Konie mają zawiązane oczy i nie widzą byka — rzekł Luis Cervallos. — Widziałem wiele koni zabitych na arenie. Jest to wspaniałe, szlachetne widowisko.

— Widziałem już jak zarzynali byka — odparł John Harned. — Teraz zobaczę jak zarzynają konia. Jestem pewien, że w ten sposób będę mógł ogarnąć całą pełnię finezji tego szlachetnego sportu.

— O, to są stare konie — wtrącił Luis Cervallos. — Nie nadają się one już wogóle do niczego.

— Rozumiem — wyrzekł John Harned.

Na arenę wypadł trzeci z kolei byk. Kapadorowie i pikadorowie ruszyli na jego spotkanie. Jeden z pikadorów zatrzymał się tuż pod naszą łóżą. Trzeba wyznać, że wierzchowiec jego był chudą, starą szkapą. Istny szkielet, powleczone suchą, pomarszczoną skórą.

— Zadziwiającem jest — zauważył John Harned, — że to biedne stworzenie może unieść ciężar swego jeźdźca. I teraz ten biedny, stary bezbronny koń musi nacierać na byka?

— Nie. Koń nie walczy z bykiem, — wyjaśnił Luis Cervallos.

— Ach tak? — rzekł John Harned. — W ta-



kim więc razie bezwzględnie musi zginąć od rogów. Oto jest powód, dla którego zawiązują mu oczy. Nie powinien widzieć byka, który przeszywa go rogami.

— Nie zupełnie — wtrąciłem. — Pikador ma przecież włócznię, którą odpędza byka i nie daje mu przebić rogami konia.

— W takim więc razie konie zapewne giną rzadko! — spytał John Harned.

— O, nie — odparł Luis Cervallos. — Widziałem w Sewilli osiemnaście koni zabitych podczas jednej walki. Było to jednak za mało dla widzów. Żądali więcej.

— Czy i tam konie miały zawiązane oczy? — zapytał John Harned.

— Tak, — odparł Luis Cervallos.

Po tej krótkiej wymianie zdań mówiliśmy już bardzo mało, przypatrując się walce. Ale przez cały ten czas w duszy Johna Harneda dojrzewało szaleństwo. Wiedzieliśmy o tem. Byk odmówił natarcia na rumaka. Koń stał spokojnie. Miał przecież zawiązane oczy i nie wiedział, że kapadorowie próbują zmusić byka do napadu. Dręczyli przez jakiś czas byka widokiem swych płacht, poczem, gdy natarł na nich, uciekli w kierunku konia i schowali się w swych schronach. Wreszcie byk został dostatecznie rozjątrzony i ujrzał konia przed sobą.

— Ale koń nie wie. Koń nic nie wie — pomyślał John Harned. Wykrzyknął głośno to zdanie,

właściwie jednak było ono jego myślą tylko. Mówił do siebie.

Byk uderzył. Koń oczywiście nie wiedział o niczem, dopóki pikador nie upadł na ziemię. Wówczas dopiero koń poczuł jak ostre rogi byka wbijają się w jego brzuch. Byk ten posiadał niezwykłą siłę. Widok jego furji wspaniałem był widowiskiem. Podniósł konia na rogach jak piórko. Ale skoro tylko koń zwałił się na ziemię, pikador zerwał się i umknął, zaś kapadorowie odwrócili uwagę byka w inną stronę. Z brzucha konia wypadły wnętrzności. Dźwignął się jednak, jęcząc strasznie. Właśnie ten koński jęk spowodował ostateczny wybuch szelaństwa Johna Harned. Powstał znów z krzesła. Słyszałem jak klął brzydko i straszliwie. Nie mógł oderwać swych oczu od konia, który wciąż jęcząc z bólu, próbował pobiec na przód, rzucając konwulsyjnie wszystkimi czterema nogami. Wówczas byk dopadł go ponownie i tak długo bódł rogami, aż wreszcie koń wyzionął ducha.

John Harned wciąż stał nieruchomo. Ale spojrzenie jego oczu nie było już tak chłodne jak stal. Żrenice Amerykanina miały błękitne płomienie. Patrzył na Marję Valenzuela. I ona również nań patrzyła. Ale na jego twarzy widniało wielkie obrzydzenie. Chwila wybuchu szelaństwa zbliżała się. Teraz szczególnie, kiedy byk już dobił konia, zwróciło to powszechną uwagę. John Harned miał



wzrost wysoki i łatwo rzucał się wszystkim w oczy.

— Niechże pan usiądzie — perswadował Luis Cervallos. — Robi pan z siebie warjata.

John Harned nie odpowiedział nic. Zacisnął kurczowo pięści i uderzył Luisa Cervallos w twarz. Uderzył tak silnie, że Luis Cervallos zwałił się jak nieżywy między krzesła i nie powstał więcej. Nie widział też wcale tego, co się stało potem. Zato ja widziałem wszystko. Urcissino Castillo, wychyliwszy się z sąsiedniej łoży, uderzył Johna Harneda w twarz laską. John Harned odplącił mu pięścią. Cios był tak potężny, że Urcissino Castillo potoczył się w głąb łoży, pociągając ze sobą generała Salazar. Teraz John Harned był już jak wściekły. Stał się ryczącą i straszną pierwotną bestją z przed tysięcy lat. Słyszałem, jak zawołał.

— Przybyliście tu na walkę byków. Ale, na Boga, ja pokażę wam jak walczą ludzie.

Była to prawdziwa walka. Po chwili nadbiegli żołnierze, pełniący wartę przy łoży prezydenta. Ale John Harned wyrwał jednemu z nich karabin. Uchwycił za lufę i kolbą przejechał po ich głowach. Siedzący w sąsiedniej łoży pułkownik Jacinto Fierro strzelał doń z rewolweru. Ale pierwszy strzał położył trupem żołnierza. Doprawdy. Widziałem to własnymi oczami. Dopiero następna kula trafiła Johna Harneda w bok. Wówczas zaklął i bagnetem trzymanego w ręku karabinu przebił pułkownika Jacinto Fierro. To było już wprost straszne. Do-

prawdy tak Anglicy jak i Amerykanie są ludźmi nawskroś brutalnymi. Szydzą z naszej walki byków, ale sami z rozkoszą wylewają krew. Z ręki Johna Harned poległo w tym dniu więcej mężczyzn, niż kiedykolwiek padło na arenie w Quito. Nietylko w Quito, w całym Gwajakwilu i nawet wogóle w Ekwadorze.

I to wszystko spowodował jęk konia. Dlaczego jednak John Harned nie oszalał na widok zabijanego byka? Przecież zwierzę jest zawsze zwierzęciem. Koń czy byk. Jednakowoż. John Harned oszalał. Niema na to innej nazwy. Upił się krwią. Stał się bestją. Osądźcie sami kto jest gorszy? Czy byk, biorący konia na rogi czy też John Harned, przebijający bagnetem ciało pułkownika Jacinto Fierro? A przecie John Harned przebił także wielu innych. Duszą jego zawładnęły djabły. Ranny wielokrotnie bił się jeszcze. Trudno było go zabić.

Marja Valenzuela była odważną kobietą. Nie krzyczała i nie mdlała jak to czynią inne. Spokojnie siedziała w swej łoży, patrząc na arenę. Twarz jej była bardzo blada. Ręka kuczowo ścisnęła wachlan. Pomimo wszystko jednak Marja Valenzuela nie obejrzała się ani razu.

Ze wszystkich stron wreszcie nadbiegli żołnierze, oficerowie i zwykli cywile aby mężnie uderzyć na szalonego Gringo. Doprawdy. W tłumie wołano, że należy zabić wszystkich Gringów. Jest to przecież stare hasło wszystkich krajów Ameryki łątyńskiej. Prosty wynik nienawiści ogólnej do Gringów wraz



z ich nieokrzesanemi manierami. To prawda. Tłum żądał tego. Ale przecież szlachetni Ekwadorczycy zabili tylko jednego, Johna Harned. Z jego zaś ręki padło ich siedmiu. Pozatem nader wielu widzów odniosło bardzo ciężkie rany. Widziałem wiele razy walkę byków, ale zaręczam, że nigdy widok areny nie był tak wstrętny jak widok tej łoży po skończonej walce. Była podobna do jakiegoś pola bitwy. Wszędzie leżały trupy. Ranni łkali i jęczeli głośno, a kilku z nich umarło niebawem. Jeden miał brzuch rozszarpany bagnetem Johna Harned. Trzymał się zań oburącz i wrzeszczał głośno. O, zaręczam, że wrzask ten straszniejszy był od jęku tysiąca koni.

A jednak Marja Valenzuela nie poślubiła Luisa Cervillos. Osobiście bardzo tego żałuję. Luis Cervillos był moim przyjacielem. W jego przedsiębiorstwach tkwiło dużo moich pieniędzy. Chirurgowie dopiero po pięciu tygodniach mogli zdjąć mu z twarzy opatrunki. Na policzku, tuż pod okiem, do dziś dnia ma bliznę. A przecież John Harned uderzył go tylko raz i to gołą pięścią, bez kastetu. Marja Valenzuela [obecnie przebywa w Austrii. Mówią że zaręczyła się tam z jakimś arcyksięciem, czy też innym arystokratą. Nie wiem dokładnie. Sądzę jednak, że lubiła Johna Harned, zanim jeszcze pojechali razem na walkę byków, do Quito. Ale jaką w tem wszystkim była [rola konia? Oto czego pragnąłbym się dowiedzieć. Dlaczego John Harned obojętnie patrzył na byka, mówiąc że go nic nie obchodzi, a potem nagle stał się najokropniej-

szym w świecie szaleńcem, słysząc jęk konającego  
konia. Nie, doprawdy. Gringów trudno jest zrozu-  
mieć. Są to prawdziwi barbarzyńcy.



## PRZYGODA W MILL VALLEY

Spokojny, zrównoważony w każdym calu się dział na szczycie murowanego ogrodzenia i czujnym uchem starał się wyłowić z wilgotnego zmroku nocy echa niebezpieczeństw, jakie mogły się w nim kryć. Ale wytężony słuch nie chwycił nic prócz pojęków wichru . lecącego poprzez jednolity gąszcz drzew i szelestów liści targanych gałęzi. Ciężkie mgły napływały zwolna i rozstępowały się przed podmuchami wichury. Nie widział wprawdzie mgły, wyczuwał jednak jej wilgotne tchnienie na twarzy, zaś mu, na którym siedział cały był ośiizgły.

Bez żadnego hałasu wdrapał się z zewnątrz na szczyt muru i równie cicho i zwinnie zeskoczył na ziemię po drugiej stronie. Wydobył z kieszeni latarkę elektryczną, ale nie zrobił z niej użytku. Wolał unikać światła, nie bacząc na to że droga prowadziła przez mrok. Nogi jego wyczuwały miękkość i elastyczność ziemi, pokrytej grubym pokładem igieł sosnowych i liści. Zbutwienie ich wskazywało, że nagromadzały się tu przez długie lata. Miękkie liście i ostre gałęzie ocierały się o jego ciało i biły w twarz. Pañowała jednak taka ciemność,

że nie mógł ich uniknąć. Posuwał się naprzód, macając przed sobą wyciągniętymi rękami i niejedną raz dłoń jego natrafiła na twarde, masywne pień drzewa. Wiedział dobrze, że dookoła było dużo takich drzew. Czuł jak wylaniają się zewsząd olbrzymie i groźne. Miał dziwaczne poczucie swej mikroskopijnej wprost małości, zatraconej wśród wielkich brył, otaczających go dookoła i zagrażających zmiażdżeniem. Wiedział, że dalej znajduje się dom i przypuszczał, że natrafi na jakiś ślad lub dróżkę, która go tam zawiedzie.

Raz poczuł się jakby złapanym w pułapkę. Ze wszystkich stron wyczuwał pnie lub gałęzie, czy wreszcie błdził w gąszczu leśnego podszycia, nie znajdując żadnego wyjścia. Wówczas pocisnął guzik i zapalił latarkę, przezornie kierując jej promienie pod nogi. Obracał latarkę w rękę wolno i ostrożnie. Biała jasność jej światła ukazywała mu wyraźnie i szczegółowo wszystkie przeszkody, stojące na drodze. Ujrzał wreszcie wolne przejście między pniami potężnych drzew, zgasił latarkę i skierował się w tę stronę, stąpając po suchym podłożu, dotychczas nietkniętem przez mgłę, dzięki grubej warstwie listowia gałęzi drzew. Miał dobre poczucie kierunku. Wiedział, że zmierza wprost ku zabudowaniom.

I wtedy właśnie zdarzyło się coś dziwnego. Było to coś zupełnie nieoczekiwanego, coś wprost nie do wiary. Jego stąpające ostrożnie nogi nadeptały nagle na coś miękkiego, żywego, coś co zerwało



sę z ziemi i powstało chrapiąc i parszczając. Odsko-  
czył czujnie i przypadł pod krzakiem, gotowy do  
skoku, naprężony cały i przewidujący, oczekujący  
napaści *nieznanego*. Czekał dłuższą chwilę, gubiąc  
się w domysłach co za zwierzę mogło poderwać  
się z pod jego nóg. Wiedział tylko, że trwa teraz  
bez ruchu. milczące, że przypadło i czeka równie  
jak on baczne i przewidujące. Wreszcie dłuższe o-  
czekiwanie stało mu się nieznośnem. Trzymając la-  
tarkę przed sobą, pocisnął guzik. Zobaczył i ję-  
knął z przerażenia. Spodziewał się wszystkiego. Od  
wystraszonego cielaka czy jelonka do srogiego lwa.  
Ale to? Wązki snop białych promieni latarki ukazał  
mu coś, czego nie zapomniałby, gdyby żył tysiąc lat.  
W świetle latarki zobaczył rosłego, jasnowłosego i  
jasnobrodego mężczyznę. Ciało jego było zupełnie  
nagie, tylko biodra okrywał kawał koziej skóry, a  
stopy tkwiły w mokassynach z miękkiej, włochatej  
skóry. Ramiona i łędwie miał obnażone, to samo  
plecy i większą część piersi. Skóra jego była gładka  
i bezwłosa, ale ogorzała mocno od słońca i wiatru.  
Kłębiły się pod nią mięśnie, silne i elastyczne jak  
węże.

Wszystko to jednak razem wzięte, aczkolwiek  
całkowicie nieoczekiwane i nagłe nie było bezpo-  
średnią przyczyną jęku przerażenia, który się wydarł  
z piersi człowieka. Lęk jego spowodowało niewypo-  
wiedziane okrucieństwo twarzy *nieznanego*, zwierzęco  
dzikie spojrzenie jego błękitnych oczu, niezupełnie  
oślepionych przez światło latarki, igły sosnowe

tkwiące w brodzie i włosach i całe wreszcie to straszne ciało, sprężone do skoku. Obserwacja trwała jedno mgnienie tylko. Jeszcze nie przebrzmiało echo jego jęku] jak *nieznany* wykonał skok. Wówczas cisnął weń latarkę i przypadł do ziemi. Poczłł na swych żebrach uderzenia stóp *nieznanego*. Skurczył się więc w sobie jeszcze więcej, a *nieznany* z trzaskiem łamanych gałęzi zapadł w gąszcz.

Gdy ucichło człowiek podniósł się z ziemi. Stojąc na czworakach czekał [ostrożnie. Słyszał jak *nieznany* myszkował dokoła szukając go wszędzie. Bał się wydać najłżejszy odgłos, aby nie zdradzić mu swej kryjówki. Nie mógł jeszcze zaryzykować ucieczki. Wiedział' że przy najmniejszym poruszeniu wyda go trzask gałęzi. W pewnej chwili wyjął rewolwer. Rozmyślił się jednak, Odzyskał już spokój i miał nadzieję wymknięcia się bez szelestu. Słyszał kilka razy jak *nieznany*, poszukując go przedzierał się przez gąszcz. Były jednak chwile, że również jak on trwał czujny i nasłuchujący. To naprowadziło człowieka na pomysł. Jedną z dłoni opierał się o kawał grubej gałęzi. Ostrożnie macając dokoła drugą ręką przekonał, się że ma dość wolnej przestrzeni do rozmachu Wówczas podniósł ostrożnie gałąź i cisnął. Gałąź była gruba, ale niezbyt wielka, poleciała przeto daleko i z trzaskiem upadła na ziemię.

Usłyszał jak *nieznany* poskoczył chyżo w gąszcz. W tejże samej chwili zaczął pełznąć. Powoli ostrożnie czołgał się na czworakach tak długo aż wreszcie



kolana jego stały się mokre wskutek zetknięcia z masą zbutwiałych liści. Zatrzymał się wreszcie i wytężył słuch. Czujne ucho nie schwytało żadnego odgłosu. Nic, prócz dalekich poświstów wichru i szelestu kropel rosy, opadającej miarowo z gałęzi. Zachowując więc wszelkie środki ostrożności, powstał i zawrócił z powrotem. Znalazłszy mur wdrapał się nań i cicho zeskoczył znowu na drogę.

Odszukał swój rower ukryty wśród krzaków i postawiwszy nogę na pedale już miał zamiar wskoczyć na siodełko, gdy nagle usłyszał odgłos skoku czyjśgo ciała, które lekko i sprawnie przesadziło mur. Nie wahał się dłużej. Uciekł ściskając kurczowo w rękach kierownicę prowadzonego roweru.

Wreszcie skoczył na siodełko, złapał stopami pedały i pomknął szybko. Przez jakiś czas słyszał za sobą dudnienie nóg, biegnących rączy po piaszczystej drodze. Rozwinął jeszcze większą szybkość i odgłos zamarł w oddali.

Wybrał jednak kierunek niepomyślny. Pojechał w pośpiechu w stronę przeciwną. Oddalał się przeto od miasta i coraz dalej zagłębiał w górzystą miejscowość, Wiedział dobrze, że szosa nie miała przecznic. Jedyne drogi wstecz doprowadziłyby go znów do spotkania twarzą w twarz ze *strachem*. Nie czuł się dość silnym aby znieść to po raz drugi. Po upływie pół godziny zauważył, że droga staje się coraz więcej stromą i zeskoczył z roweru. Zachowując jaknajwiększą ostrożność postawił maszynę tuż przy drodze, poczem przedostał się przez płot na jakąś

łąkę co do której zdecydował, że była pastwiskiem górskim. Rozłożył na ziemi wydobytą gazetę i usiadł na niej.

— To wszystko głupstwo — wyrzekł głośno, ocierając tyarz z potu.

— Głupstwo — powtórzył skręcając papierosa i rozważając zagadnienie powrotu.

Nie urzeczywistnił jednak swoich planów. Po-  
stanowił nie ryzykować. Obawiał się tamtej mrocz-  
nej drogi. Oparł podbródek o kolana i zadrzemał,  
czekając na świt.

Sam nie wiedział dokładnie ile czasu trwała ta  
drzemka. Obudziło go naszczekiwanie młodego ku-  
yota. Obejrzał się i znalazł, że kuyot stoi na wier-  
chołku wzgórza. Zauważył jednocześnie zmiany, ja-  
kie zaszły w obliczu nocy. Mgła rozwiała się zu-  
pełnie. Księżyc i gwiazdy zagasły. Nawet wicher  
uśmierzył się zupełnie. Noc wyzbyła się tajemni-  
czości i stała jedną ze zwykłych nocy Kalifornji.  
pełną balsamicznych zapachów i ciepła. Zasnął znów,  
ale po chwili ponownie obudził go odgłos ujadania  
kuyota. Półseny jego słuch pochwycił nutę dzikie-  
go, gardłowego śpiewu. Obejrzał się i spostrzegł,  
że kuyot, zaprzestawszy ujadania pędził po grzbiecie  
wzgórza. Za nim w pełnej pogoni, biegła owa naga isto-  
ta, którą spotkał w ogrodzie. Kuyot był zwierzęciem  
młodem. Ale ręczość nóg nie uratowała go od *niezna-  
nego*. Zdarzyło się to jednak już wtedy, kiedy oboje  
znikli za przełęczą. Człowiek zatrząsł się jakby w  
ataku febry. Zerwał się z ziemi, przeskoczył przez



ogrodzenie i skoczył na rower. Wszystko składało się dlań szczęśliwie. Wiedział o tem. *Strach* nie bronił mu już przystępu do Mill Valley.

Z zawrotną szybkością potoczył się w dół. Pośpiech ten też spowodował, że na zakręcie drogi, już u samego podnóża, potknął się o nieoczekiwaną przeszkodę i jak długi runął na ziemię, koziółkując przez kierownicę.

— Nie, stanowczo nie mam szczęścia tej nocy — pomyślał oglądając z żalem złamane widelki roweru. Wziął na plecy popsutą maszynę i powlókł się na piechotę. Podszedł do muru i, niezupełnie wierząc sobie, szukał śladów. Znalazł je. Były to ślady stóp, obutych w mokassyny, duże, głęboko wbite w palcach w piasek szosy. Podczas gdy badał je, nisko nachylony, doleciał go nagle poprzednio słyszany dziki, gardłowy śpiew. Widział już jak *nieznany* gonił kuyota i wiedział dobrze, że ucieczka nie zbawi go. Nie próbował jej więc. Ukrył się w cieniu, tuż przy samej drodze.

I znów zobaczył to samo. Drogą szybko i lekko nadbiegał nagi człowiek, śpiewając jakąś dziką pieśń. Tuż koło jego kryjówki zatrzymał się. Serce człowieka ukrytego zamarło na chwilę z przerażenia.

Ale *nieznany* nie miał zamiaru szukać go w kryjówce. Podskoczył wysoko w górę, pochwycił gałąź przydrożnego drzewa i zakołysał się w gąszczu, chwytając szybko konary czterema kończynami jak małpa. Dał wreszcie susa przez mur i to na dwa-

naście przynajmniej stóp w powietrzu, schwycił gałęzie innego drzewa, znikł w ciemności i gdzieś, hen daleko, zeskoczył na ziemię. Człowiek przez jakiś czas trwał w bezruchu, poczem otrząsnąwszy się ze zdumienia ruszył w drogę.

2.

Dave Slotter bardzo zdecydowanym ruchem oparł się oburącz o biurko, przegradzające mu dostęp do prywatnego gabinetu p. Jamesa Ward, starszego współwłaściciela firmy Ward, Knowles and C<sup>o</sup>, Dave był zły. Zauważył już, że każdy w tem biurze spoglądał nań z podejrzeniem. Urzędnik, z którym mówił teraz, wydawał się być szczególnie podejrzliwym.

— Ależ proszę powiedzieć panu Ward, że ja mam naprawdę bardzo ważną sprawę — nastawał.

— Mówię przecież panu, że obecnie pan Ward dyktuje list. Nie można mu przeszkadzać. Proszę przyjść jutro.

— Boję się, że jutro może być już za późno. Zechce pan oznajmić panu Ward, że to jest sprawa życia albo śmierci.

Sekretarz zawahał się i Dave wyzyskał tę chwilę swej przewagi.

— Proszę tylko zameldować panu Ward, że nocy onegdajszej byłem za zatoką w Mill Valley i że pragnę zwrócić jego uwagę na pewną rzecz.

— Pańskie nazwisko? — zabrzmiała odpowiedź.



— Nazwisko moje jest zbyt ciche. Pan Ward nie zna mnie wcale.

Dave wciąż jeszcze trwał w swym wojowniczym usposobieniu, nawet wtedy, kiedy wskazano mu drogę do prywatnego gabinetu szefa firmy. Tam stan jego duchowy jednak uległ całkowitej zmianie, kiedy ujrzał barczystego, jasnowłosego mężczyznę, dyktującego list stenografistce. Mężczyzna, przekreślił się w swym ruchomym fotelu w stronę wchodzącego i cały zadzierzasty nastrój pierzchnął. Dave nie wiedział dlaczego tak się stało i w skrytości ducha był niezadowolony z siebie.

— Czy pan Ward? — spytał zgoła nedorzeczenie i rozgniewał się na siebie jeszcze więcej. Nie miał zupełnie zamiaru zadawać to pytanie.

— Tak jest — brzmiała odpowiedź. — A pan kim jest?

— Nazywam się Harry Bancroft — skłamał Dave. — Ale pan mnie nie zna przecież wcale, a przeto nazwisko moje nie gra tu żadnej roli.

— Mówiono mi, że ubiegłej nocy był pan w Mill Valley.

— Zdaje się, że pan tam mieszka — ciągnął Dave, rzucając niespokojne spojrzenie na stenotypistkę.

— Owszem. Ale o co właściwie pana chodzi? W tej chwili jestem bardzo zajęty.

— Pragnąłbym pomówić z panem na osobności.

Pan Ward obrzucił go szybkim, badawczym

spojrzeniem. Przez chwilę wahał się, potem zdecydował krótko.

— Panno Potter, proszę opuścić na chwilę gabinet.

Stenografistka wstała, zebrała swoje notatki i wyszła. Dave ze zdumieniem spoglądał na pana Ward. Wreszcie ten ostatni przerwał w zaczątku nic jego rozważań.

— A więc?

— Byłem w Mill Valley nocy ubiegłej — zaczął Dave wstydliwie.

— Słyszałem już o tem przed chwilą. Ale o cóż właściwie panu chodzi?

W umyśle Dave'a dojrzało przekonanie, że mu nie uwierzą. Ciągnął jednak dalej.

— Byłem w pańskim domu. W każdym zaś razie w parku, należącym do pana.

— I cóż pan tam robił?

— Chciałem okraść mieszkanie — wyznał Dave śmiało. Mówiono mi, że mieszka pan tam samotnie z jednym tylko Chińczykiem — kucharzem. Sądziłem więc, że pójdzie mi łatwo. Ale nie ukradłem nic. Stało się coś, co powstrzymało mnie od tego. Dlatego też jestem dziś tutaj. Przyszedłem ostrzec pana. W parku natrafiłem na dzikiego człowieka, prawdziwego diabła, ukrytego w gąszczu drzew. Był straszny. Nie jestem wprawdzie ułamkiem, myślę jednak, że z łatwością rozszarpałby mnie w kawały. Gonił mnie. Przytem nie miał żadnego odzienia, któreby zasługiwało na tę nazwę. Łaził po drzewach



jak mała, a biegł jak jeleni. Widziałem jak uganiał się za kuyotem. Na Boga. Mówię prawdę. Schwytał zwierzę.

Dave urwał, badając wrażenie, jakie wywrą jego słowa. Nie było żadnego. James Ward była zaciekawiony, ale nie wykazywał zdumienia.

— To było bardzo godne uwagi. Istotnie — rzekł. — A więc utrzymuje pan, że był to człowiek dziki. Dlaczego właściwie przyszedł mi pan o tem powiedzieć?

— Aby uprzedzić pana o niebezpieczeństwie. Ja sam wprawdzie zajmuję się nieco wątpliwymi sprawami, ale nie uznaję zabójstwa, to jest... o ile jest ono koniecznem, pan rozumie? Przypadkowo przekonałem się, że grozi panu niebezpieczeństwo. Sądziłem przeto, że należy pana ostrzec. Chciałem postąpić uczciwie. Nie odmówię oczywiście, jeżeli zechce mi pan dać cośkolwiek za fatywę. Miałem to również na względzie. Ostatecznie jednak nie dbam o to. Może mi pan nawet nic nie dawać. W każdym razie będę wiedział, że ostrzegłem pana i poniekąd spełniłem swój obowiązek.

Pan Ward rozmyślał, bębniąc palcem w powierzchnię biurku. Dave zauważył, że dłonie jego były duże i silnie opalone, ale utrzymane dobrze. Zauważył również jeszcze coś, co już przedtem go uderzyło. Był to wąski skrawek gojącego plastra, barwy ciała, przyklepiony na czole, tuż nad okiem. Pomimo wszystko jednak odrzucał jako niedorzeczną myśl, która uporczywie pełzała w jego mózgu.

Wreszcie pan Ward wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki gruby pugilares. Wydobył banknot i podał Dave'owi, który chowając go zauważył, że był to bilet dwudziestodolarowy.

— Dziękuję panu — rzekł pan Ward, zaznaczając tem, że rozmowa jest skończona. — Poleć służbie zbadać tę sprawę. Dziki człowiek przebywający na wolności może być niebezpiecznym.

Spokój głosu pana Ward był tak niezamącony, że Dave odzyskał cały swój tupet. Pozatem w tej chwili wpadł na nowy pomysł. Człowiek dziki był zapewne rodzonym bratem pana Ward. Był to prawdopodobnie warjat, trzymany przez rodzinę w ukryciu. Dave słyszał już o takich wypadkach. Możliwym więc było, że pan Ward chciał zachować tajemnicę. Dlatego też dał mu aż dwadzieścia dolarów.

— Wie pan co? — zaczął Dave. — Teraz wydaje mi się, że ten dziki człowiek był bardzo podobny do pana.

To było wszystko, co zdążył Dave powiedzieć. W następnej chwili zobaczył zmianę. Ujrzał utkwione w siebie te same, niewypowiedziane okrutne błękitne oczy z nocy poprzedniej, spostrzegł te same chwytnie palce podobne do szponów, słowem tego samego straszego potwora, który wówczas gotował się do skoku. Dziś jednak Dave nie posiadał przy sobie latarki, którą by mógł weń rzuścić i został porwany za bicepsy obu rąk tak silnym chwytem, że jęknął z bólu. Ujrzał białe zęby,



wyszczzerzone jak u psa, który zamierza ugryźć. Broda pana Ward muskała jego twarz, a zęby schwyciły za szyję. Nie ugryzły jednak. Natomiast Dave poczuł, że całe ciało jego zesztyniało nagle w tym żelaznym uścisku i zostało odrzucone bez najmniejszego wysiłku, a jednak tak silnie, że upadek jego zatrzymała tylko twarda i gładka ściana gabinetu.

— Jak śmiesz nachodzić mnie w celach szantażu? — warczał pan Ward tuż przy jego twarzy. — Oddaj no mi bratku z powrotem pieniądze.

Dave zwrócił banknot bez słowa protestu.

— Myślałem, że przychodzisz tu z dobrimi zamiarami. Teraz znam cię już, bratku. Nie chcę cię więcej widzieć ani słyszeć o tobie. Zabieraj się, póki cię nie wpakowałem do więzienia, w którym już dawno powinien być się znajdować. Rozumiesz?

— Tak jest, proszę pana — wycharczał Dave.

— No, to precz stąd.

Dave ruszył bez słowa odpowiedzi, z uczuciem szalonego bólu w obu bicepsach, nawpół zmiażdżonych w uścisku strasznych łap. Dotknąwszy ręką klamki usłyszał znów głos pana Warda i zatrzymał się jeszcze.

— Masz szczęście, bracie — mówił, a Dave obejrawszy się zauważył, że twarz jego miała wyraz dziki, a wytrzeszczone oczy patrzyły okrutnie i hardo. — Masz szczęście. Gdybym tylko zechciał, wy-

darłbym ci mięśnie z ciała i wyrzuciłbym je na śmietnik.

— Tak jest, proszę pana — rzekł Dave i w głosie jego znać było absolutne przekonanie.

Otworzył drzwi i wyszedł z gabinetu. Sekretarz siedzący w drugim pokoju spojrzał nań pytająco.

— Głupstwo — rzekł Dave.

To było wszystko co zdołał wyjąkać i z czym wyszedł z kantoru.

### 3.

Pan James G. Ward liczył lat czterdzieści i miał duże powodzenie w interesach, wogóle zaś nie był szczęśliwym. Przez czterdzieści lat już próbował rozstrzygnąć zagadkę, którą był sam i oto w miarę przybywania lat zagadka ta stała się coraz więcej dolegliwym zmartwieniem. Na osobę pana Jamesa Ward składali się jakby dwaj różni ludzie, których dzieliła przestrzeń tysiąca lat. Studjował też teorię podwójnej osobowości uważniej może niż cały tuzin wybitnych znawców tej zawilej i tajemniczej dziedziny psychologicznej. W głębi swej duszy odnajdywał szczegóły odmienne od zapisanych gdziekolwiek. Najfantastyczniejsze pomysły powieściopisarzy nie zdołałyby oddać jego charakteru. Pan Ward nie przypominał ani doktora Jekyll, ani pana Hyde, ani nawet nie szczęśliwego młodzieńca z kiplingowskiej „Największej Bajki świata“. Dwie jego osobowości tak zawile spletały się wzajem, że, praktycznie rzecz



ujmując, nie miały pełnej świadomości równorzędnego swego istnienia.

Jednym z *ja* pana Warda był człowiek o nawskroś nowoczesnym wykształceniu i poglądach, prawy syn ostatnich lat XIX stulecia i pierwszej dekady XX-go. Drugim był dziki barbarzyńca, żyjący w warunkach zupełnej pierwotności kilka tysięcy lat temu. Nigdy nie był pewny, który z tych ludzi stanowi jego właściwe *ja*. Niepewność ta wynikała stąd, że obydwaj ci ludzie właściwie składali się na jedną całość. Bardzo rzadko jednak zdarzyło się, że jeden z tych różnych ludzi nie wiedział dokładnie co czynił drugi. Inną rzeczą było, że pan Ward nie posiadał żadnych wizyj ani wspomnień o przeszłości, w której żył ten drugi człowiek pierwotny. Prymitywna ta istota żyła dziś ale nawet w obecnym swym życiu ulegała wymogom takiego trybu życia, jakie musiała prowadzić w odległej przeszłości.

— W dzieciństwie już był zagadką dla rodziców, zagadką dla lekarzy, do której rozwiązania wskutek dziwnego zachowania dziecka nie podchodzili bliżej jak o tysiące mil. Nie mogli nigdy znaleźć wytłomaczenia ani dla szczególnej senności, jaką ujawniał w godzinach rannych, ani też niezwykłej aktywności, jaką rozwijał w nocy. Zastawano go niekiedy jak błądził po korytarzach domu w nocy, widziano jak czasami wspinał się na krawędzie wysokich dachów lub pędził po wzgórzach. Zdecydowano wówczas, że jest lunatykiem. W rze-

czywistości nie był nim bynajmniej. Pozostawał jedynie pod przemożnym wpływem swych nocno-włóczęgowskich nawyczek. Zapytywany raz przez przeciętnego eskulapa, wyjawiał całą prawdę. Nigdy nie mógł potem przeboleć upokorzenia, jakiego doznał wówczas, kiedy jego rewelacje otrzymały pogardliwą etykietę jako „sny“.

Cała rzecz polegała na tem, że z nadejściem wieczoru Ward stawał się niezwykle czujnym. Pokój z jego czterema ścianami stawał mu się wówczas przykrem więzieniem. Wyostrzony jego słuch chwycił tysiące odgłosów, rozlegających się w mroku. Wołała nań noc. Na okres dwunastu godzin stawał się prawdziwym synem zmierzchu. Nikt go jednakże nie rozumiał, a i sam Ward nie próbował już się zwierzać nikomu. Uważano go za lunatyka i stosowano środki zapobiegawcze, które przeważnie zresztą zawodziły. Po wyrośnięciu z dzieciństwa stał się znacznie przebieglejnym i większą część wszystkich swych nocy spędzał zgodnie z wymaganiami drugiego swego *ja*. Wynik był taki, że przed południem zasypiał najmocniej. Ranne studia przeto stały się niemożliwymi i wkrótce zauważono, że jedynie w porze poobiedniej, pod kierownictwem prywatnych nauczycieli, dziwny chłopiec mógł odbywać lekcje. Takim więc tylko sposobem nowocześnie *ja* Warda zdobyło wykształcenie i ogładę.

Ale zagadki nie rozstrzygnięto. Znano go ogólnie jako małego djabła, bezmyślnie okrutnego i złośliwego. Lekarze kwalifikowali go jako psychopata.



i degenerata. Nieliczni zaprzyjaźnieni z nimi chłopcy patrzyli nań jak na dziwowisko, obawiając się go potrochu. Każdego z nich przecież mógł wyprzedzić w biegu, zwyciężyć w pływaniu na dystans czy też w boksie. Żaden z chłopców nie ośmielał się walczyć z takim rywalem. Był zbyt zastraszająco silny i nazbyt szaleńczo rozhukany.

Mając zaledwie dziesięć lat uciekł w góry. Zaszył się tam w niedostępne miejsce i żył tak przez siedem tygodni, włócząc się całymi nocami. Dopiero po długich poszukiwaniach udało się wykryć schronienie dzikiego chłopca i sprowadzić go z powrotem do domu. A już zupełną zagadką dla otoczenia było czem żywił się przez cały ten czas mały włóczęga. Nie mówił o tem nigdy. Nikt też się nie dowiedział o tych królikach, które chłopiec zabijał w norach, o przepiórkach które chwycił i pożerał, o kurczętach które kradł nocami farmerom wprost z kurników, jak również o głębokiej jamie, którą sam sobie wygrzebał w ziemi. Jama ta miękko wysłana suchemi liśćmi i trawą służyła mu przez cały ten czas za wygodne i ciepłe schronienie. Przespał w niej wszystkie poranki.

Niezwykła tępota umysłu chłopca w godzinach rannych lekcyj oraz jego senność były równie dobrze znane w szkole jak i nadzwyczajna błyskotliwość pojętności w porze popołudniowej. Przez zniemawidzone lekcje poranne zaledwie udawało mu się przebrnąć przy pomocy ściągania notatek kolegów. Zato lekcje odbywające się popołudniu były jednym

triumfem małego dziwaka. We wszystkich prawie rodzajach sportu bywał stale zwycięzcą, a w pilce nożnej był już wprost postrachem dla przeciwników. Żaden zaś z chłopców nie chciał się nigdy z nim boksować od czasu ostatniego match'u, kiedy Ward zatopił zęby w łopatkę przeciwnika.

Po ukończeniu szkoły został przez zrozpaczonego ojca wysłany na odległą farmę, pomiędzy cowbojów. W trzy miesiące później dzielni cowboje uznali, że był dla nich zbyt ciężkim towarzyszem. Depeszerowali wówczas do ojca aby przyjechał zabrać swego dzikiego młodzieńca. Ojciec oczywiście uczynił to niezwłocznie. Usłyszał też wówczas oświadczenie, że cowboje woleliby mieć do czynienia raczej z hordą wyjących kannibalów, opętanych warjatów, ryczących goryłów, szarych niedźwiedzi czy wreszcie tygrysów — ludojadów niż z tym dziwnym absolwentem liceum o starannym przedziale.

W jego braku pamięci o szczegółach pierwotnego bytowania był jeden wyjątek. Mianowicie język. Dzięki pewnemu zadziwiającemu atawizmowi niektóre słowa używane kiedyś przez jego jaźń pierwotną, były mu znane. W chwilach zadowolenia, podniecenia czy walki wybuchał nagle dzikim, barbarzyńskim śpiewem. Zdarzyło się raz, że zaśpiewał i to zupełnie rozmyślnie kilka takich starożytnych pieśni w obecności profesora Wertza, który wykładał teorię języka staro-saksońskiego a był sławnym i zamiłowanym filologiem. Na dźwięk jednej z nich



profesor nadstawił uszu i zapytał co to za narzecze germańskie. Druga pieśń podnieciła starego profesora jeszcze więcej. Produkcja wokalna Jamesa Ward została zakończona zwycięską pieśnią, którą nucił zawsze podczas zapasów czy walki. Wówczas profesor zdecydował, że nie było to żadne z dawniejszych narzeczy języka niemieckiego, lecz jakiś język germański czy wczesno teutoński, datujący się z czasów niemiernie odległych, poprzedzających jakąbądź epokę zbadaną przez uczonych. Język ten był tak starożytny, że znajdował się właściwie niejako po za czasem. Brzmiały w nim jednak widmowe reminiscencje słów — kształtów, które profesor znał. Wysubtelniona intuicja zawodowa mówiła mu, że są prawdziwe i ściśle. Zapytał wówczas o źródło pochodzenia pieśni i prosił o pożyczenie mu cennego rękopisu, który je zawierał. Pytał również czemu Ward dotychczas udawał, że wcale nie zna niemieckiego języka. Niestety Ward nie mógł pożyczyć manuskryptu ani też wytłomaczyć powodu swej ignorancji. Wobec tego, po licznych a bezskutecznych prośbach i przedstawieniach, które ciągnęły się całe tygonie, profesor Wertz powziął niechęć do młodzieńca, uważając go za kłamcę i monstrualnego egoistę, który mógłby a nie chce użyć mu cudownego pisma, starszego od najstarszych jakie znał jakikolwiek filolog.

Ale dla tego młodzieńca o naturze tak bajecznie skomplikowanej nie było wcale żadnym dobrodziejstwem otwarcie mu oczu na fakt, że połowa

Jego istoty należała do czasów dzisiejszych, połowa zaś do zamierzchłej przeszłości. Poza to nowoczesno amerykańska jego jaźń była silna i zmuszała go do zawierania pewnego kompromisu z tą drugą, należąca do dzikiego nocnego włóczęgi. Ward kulturalny i wyrafinowany pragnął być normalnym człowiekiem i żyć i kochać oraz pracować jak inni.

Godziny popołudniowe więc przyzwyczał się Ward poświęcać jednej swej jaźni, nocie zaś drugiej. Poranki oraz część nocy przeznaczone były na sen tych dwojga bliźniąt. Ale w poranki Ward sypiał w łóżku jak każdy człowiek cywilizowany, podczas gdy nocami drzemał w lesie niby dzikie zwierzę. Tak było właśnie wówczas, kiedy przypadkowo natknął go Dave Slotter.

Ward uzyskał od ojca większą pożyczkę i oddał się interesom. Miał w nich wielkie powodzenie. Poświęcał na sprawy handlowe wszystkie swoje godziny popołudniowe, podczas gdy wspólnik jego pracował w poranki. Wieczory spędzał zazwyczaj w towarzystwie, ale za zbliżeniem się godziny dziesiątej lub dziewiątej, ogarniał go niezwykle niepokój. Znikał wówczas z widowni aż do następnego popołudnia. Przyjaciele i znajomi sądzili zawsze, że to sport tak absorbuje Warda. Poniekąd mieli rację. Nie wyobrażali sobie jednak wcale natury tego sportu. Nie widzieli przecież jak gonił nocą kuyoty na wzgórzach Mill Valley.

Zupełnie też niewiarogodnymi wydawały się opowiadania rybaków, którzy nieraz mówili o nie-



znanym człowieku, w chłodne poranki zimowe płynącym przez fale przyływu, zwalczającym Raccoon Straits, lub przebywającym z łatwością pomimo silnego prądu przestrzeń dzielącą wyspę Kozią od Anielskiej o całe tysiące mil od brzegu.

W Mill Valley mieszkał sam zupełnie, mając jednego tylko służącego Chińczyka. Lee Sing był kucharzem i zarazem totumfackim. Wiedział dużo o dziwactwach swego pana, ale był dobrze płatny i nigdy nic nie opowiadał nikomu.

Po przyjemnościach nocy, po wypoczynku porannym oraz śniadaniu Lee Singa, James Ward w południe odpływał motorówką do San Francisco. Wprzód odwiedzał swój klub, potem zaś udawał się do kantoru, jak zwykły kupiec i człowiek normalny. Ale kiedy poczynał zapadać zmierzch, następowała zmiana. Ward odczuwał nagle zaostrenie wszystkich zmysłów. Słuch jego stawał się niebywale wrażliwym. Mirjady nocnych głosów prawily mu ponurą a dobrze znaną opowieść. Jednocześnie odczuwał dziwny niepokój. Będąc w takiej chwili samotnym poczynał przebiegać szybko ciasny pokój tam i z powrotem jak dzikie zwierzę pozbawione wolności.

Pewnego razu zdarzyło mu się zakochać. Nigdy dotąd nie pozwalał sobie na tę rozrywkę. Był przerażony. A młode dziewczę przez wiele dni po miłosnem wyznaniu Warda miało niezliczoną ilość czarno-błękitnych sińców na ramionach, Były to ślady pieszczot, które roztaczał jej zakochany z całą

czułością, ale nazbyt późno w nocy. W tem właśnie tkwił błąd. O ileby zaryzykował swe karesy po południu wszystko poszłoby doskonale. Czyniłby to wówczas z całym taktem gentlemana. Ale w nocy? W nocy był przecież tylko nieokrzesanym barbarzyńcą, porywaczem kobiet, dzikim mieszkańcem mrocznej głębi lasów Germanji. Zdrowy instynkt mówił mu też, że małżeństwo jego zgóry skazane byłoby na niepowodzenie. Z przerażeniem wyobrażał sobie co powiedziałyby przyszła żona, widząc go po zapadnięciu zmroku.

Poniechał więc wszelkie marzenia o miłości, uregulował starannie swą podwójną egzystencję, zajął się intensywnie sprawami firmy i zarobił miliony. Stał się też niezmiernie ostrożnym w stosunku do matek, pragnących wydać zamąż swoje corki, jasnoookie dziewczęta w różnym wieku. Liljanie Gersdale zaś wyraził niezłomne postanowienie nie spotykania się z nią już nigdy więcej po godzinie ósmej wieczorem. Nocą uganiał się za kuyotami i sypiał w leśnych barłogach. Wiedzieli o tem tylko sam Ward oraz Lee Sing, a teraz jeszcze Dave Slotter. Odkrycie przez tego ostatniego tajemnicy podwójnej jego egzystencji przeraziło Warda. Włamywacz nie bacząc na to, że dostał porządną nauczkę, mógł się przecież wygadać. Gdyby zaś w szczęśliwym wypadku tego nie uczynił, to prędzej czy później tajemnicę jego może odkryć ktoś inny.

Ta obawa właśnie podyktowała Jamesowi Ward nakaz zrobienia nowej, heroicznej próby opanowa-



nia natury teutońskiego barbarzyńcy, który stanowił część składową jego istoty, Stało się dobrze, że widywał teraz Liljanę tylko popołudniu i wczesnym wieczorem, gdyż przyszła wreszcie chwila, że dziewczyna pokochała go takim jakim był, lepszym czy gorszym, on zaś modlił się żarliwie w cichości ducha, aby miłość jej nie była przeznaczona dla tego gorszego. Przez cały ten okres trenował się tak uporczywie i z taką ścisłością, jak nigdy nie trenował się żaden bokser przed decydującą walką. Między innymi starał się wyczerpać swe siły w pracy dziennej aby zmęczenie i sen uczyniły go głuchym na wołania nocy. Wziął urlop i udał się w podróż myśliwską. Ścigał jelenie w najniebezpieczniejszych, najdzikszych kniejach, jakie tylko mógł znaleźć i to zawsze za dnia. Noc zastawała go już w domu, znużonego i sennego. Zaprowadził też sobie całą instalację przyrządów gimnastycznych i każde ćwiczenie, które inni mogli wykonywać najwyżej do dziesięciu razy, robił całe setki. Wchodząc w pewien kompromis z drugim swem ja kazał wybudować sobie altanę na tarasie drugiego piętra willi i tam udawał się na spoczynek nocny. Po wszystkich trudach dnia tam nareszcie oddychał rzeźwiącem powietrzem nocy. Podwójne drzwi przeszkadzały mu uciec w lasy i co wieczór Lee Sing zamykał Warda w altanie, a wypuszczał na wolność dopiero na rano.

Pewnego dnia wreszcie a było to w sierpniu Ward przyjął kilkoro służby i zaryzykował urządzać

w Mill Valley. przyjęcie Zaprosił Lilianę wraz z matką i bratem oraz jeszcze kilku wspólnych znajomych. Przez dwa dni i dwie noce wszystko szło jaknajlepiej. Trzeciej nocy, po godzinie jedenastej podczas partji bridge'a, Ward miał już prawo być dumnym z siebie. Po prawej jego stronie siedziała Liljana Gersdale, on jednak jak dotąd z powodzeniem ukrywał swój niepokój. Liljana była delikatnym ciepłarnianym kwiatkiem, a widok tej wåtłosci szczególnie nocą podniecał jego zmysły. Czuł wówczas niepohamowanie pragnienie pochwycenia jej w żelazne kleszcze swych łap tak aby czuła ból. Chęć ta występowała najgwałtowniej wówczas kiedy widział że wygrywa grając z nim w karty.

Ulubiony ogar warował przy jego nogach. To było dobrze. Kiedy pokusa była zbyt silną wówczas poczynął targać psa za kudły i odzyskiwał spokój. Szorstka sierść zwierzęca dawała mu chwilową ulgę i pozwalała dalej grać spokojnie w bridge'a. Nikt z gości nie odgadł walki wewnętrznej jaką toczył sam z sobą uprzejmy gospodarz. Śmiał się przecież tak serdecznie, a grał tak ostrożnie i przezornie, nie pozwalając nikomu domyśleć się swej rozterki duchowej.

Nastał wreszcie czas spoczynku i Ward w obecności wszystkich pożegnał się z Liljaną. Znalazłszy się już w swej, altanie sypialnej, zamkniętej na klucz przez Lee Singa, podwajał i potrajał zwykle swe ćwiczenia aż wreszcie wyczerpany zupełnie rzucił się na posłanie. Zanim zasnął jednak nasu-



nęły mu się dwa zagadnienia, dotychczas nieroztrzygnięte. Jednym z nich była sprawa ćwiczeń. Nie był pewny czy prowadzą do celu. Im więcej się ćwiczył i oddawał sportom, tem więcej nabierał siły. Wydało mu się teraz, że siła ta może się stać powodem katastrofy. Drugiem zagadnieniem była sprawa zawarcia związków małżeńskich oraz tych podstępów, do jakich będzie musiał się uciekać wobec swej przyszłej żony po nadejściu zmierzchu. Rozmyślając tak i próbując bezskutecznie rozstrzygnąć te zagadnienia zasnął kamiennym snem.



Przez czas dłuższy zagadką było dla wszystkich jakim sposobem tej nocy znalazł się w Mill Valley wielki szary niedźwiedź. Wiedzieli o tem tylko ludzie z Cyrku Braci Springs, znajdującego się chwilowo w Sansalito, którzy długo i bezskutecznie poszukiwali „Wielkiego Bena, największego na świecie szarego niedźwiedzia“. Wielki Ben uciekł z klatki i wśród labiryntu półtysiaca rezyzencyj wiejskich, upodobał sobie najwięcej park Jamesa J. Warda. Ten ostatni zaś ocknąwszy się owej nocy ze snu odczuł przedewszystkiem falę pragnienia walki, podnoszącą się w piersiach, a na wargach prastarą pieśń bojową. Z zewnątrz dolatywały go odgłosy dzikiego ujadania i wycia ogarów. Potem, nagle wdarł się w jego słuch, ostry jak cios noża, jęk kłania powalonego psa. Był to jego pies. Wiedział o tem. Zapominając o pantoflach, odziany tylko w

pyjame, wylał z łatwością drzwi, przezornie zamknięte przez Lee Singa, zbiegł ze schodów i zagłębił się w mrok nocy. Raniąc bosa stopy o chropawy żwir ścieżki poskoczył do znajdującej się pod schodami skrytki, którą pamiętał dobrze. Wydobył stamtąd potężny sękaty kij, który zawsze brał ze sobą na owe nocne szaleńcze wycieczki. Wściekle ujadanie ogarów zbliżało się coraz więcej. Ward świsnął kijem w powietrze i skoczył wprost w gąszcz zarośli.

Zaalarmowana służba zebrała się na wielkiej werandzie. Ktoś zapalił elektryczność. Nie zobaczyli jednak nic prócz własnych przerażonych twarzy. Widać było tylko ścieżkę. Dalej wznosił się mur drzew, za którym czaił się nieprzenikniony mrok. Jednakże gdzieś w tym mroku toczyła się straszna walka. Z głębi lasu dolatywały wściekle skowyty psów i straszne pomruki i odgłosy rozdawanych uderzeń i trzask gałęzi łamanych przez ciężkie ciała, toczące z sobą śmiertelny bój.

Wreszcie akcja wyłoniła się z gąszcza drzew, i poczęła odbywać przed oczami widzów zebranych na werandzie. Jasno oświetlona ścieżka była teraz jej sceną. Widzieli ją wszyscy. Pani Gersdale krzyknęła strasznie i rzuciła się w objęcia syna. Liljana uchwyciła dłońmi poręcz tak spazmatycznym skurczem, że końce jej palców zachowały ślady sińców przez długi szereg następnych dni. Z przerażeniem patrzyła na jasnobrodego olbrzyma o dzikim spojrzeniu. Poznała w nim człowieka, który miał się stać jej mężem. Wywijał olbrzymią maczugą i walczył zaciekłe, ale roz-



nie z kudłatym potworem, większym od wszystkich niedźwiedzi, jakie kiedykolwiek widziała. Jeden cios łapy zwierzęcia zdarł z Warda część pyjamy i zalał całe ciało krwią.

Liljana Gersdale bała się o los ukochanego mężczyzny, ale sam widok tego mężczyzny również napawał ją niewysłowioną trwogą. Nigdy nie przypuszczała, że pod krochmaloną koszulą i eleganckiem ubraniem jej narzeczonego mógł się czaić tak straszny i tak wspaniały barbarzyńca. Nie miała też żadnego pojęcia o tem jak może walczyć mężczyzna. Nie była to walka dzisiejsza. Ale też i człowiek, którego Liljana miała teraz przed oczami nie był dzisiejszym, choć Liljana nic nie wiedziała o tem. Nie był to pan James J. Ward, znany kupiec z San Francisco.. To był ktoś nieznaną. Bezimienny, nieokrzesany, brutalny barbarzyńca, który dzięki dziwnemu kaprysowi natury ożył nagle po trzech tysiącach lat.

Ujadające wciąż wściekle ogary otoczyły zwartem kołem walczących, rwąc się od czasu do czasu naprzód i szarpiąc niedźwiedzia. Kiedy potwór odwracał łeb aby opędzić się od pomniejszych napastników. wówczas człowiek raził go maczugą. Rozjątrzony tym nowym ciosem zwierz rzucał się zaciekle na wroga. Człowiek zaś odskakiwał, starając się ominąć psy, cofał się lub krążył dokoła potwora. Ogary korzystały z tej nowej przewagi i znów rzucały się i zwracały na siebie gniew zwierzęcia.

Koniec przyszedł nagle. Kręcąc się i rycząc

niedźwiedź zawadził jednego z ogarów swą szeroką łapą. Cios był tak silny, że pies z wydartymi żebrami i zwichniętym karkiem potoczył się o jakieś dwadzieścia stóp. Wówczas ludzkie zwierzę wpadło we wściekłość. Na ustach jego ukazała się piana. Z piersi wydarł się nieartykułowany ryk. Skoczył na niedźwiedzia, ściskając oburącz potężną maczugę i uderzył prosto w łeb. Nawet czaszka szarego niedźwiedzia nie wytrzymała niebywalej siły uderzenia. Zwierzę runęło martwe między ciała rozszarpanych ogarów. Mężczyzna zaś wskoczył na trupa powalonego wroga i jasno oświetlony jarzącym blaskiem elektrycznych lamp, widoczny wszystkim, opierając się na rękojeści swej maczugi zaintonował triumfalną pieśń. Była to pieśń zwycięstwa. śpiewana w języku nieznanym, a tak starożytnym że profesor Wertz w swoim czasie był gotów dać za nią dziesięć lat swego życia.

Wszyscy goście teraz ruszyli ku zwycięzcy. Chciano podnieść go do góry i godnie uczcić. Ale James J. Ward, który w tej chwili właśnie wyjrzał z oczu barbarzyńskiego Teutona, spostrzegł sylwetę dziewczyny z dwudziestego stulecia, którą kochał. W mózgu poczuł coś jakby łupnięcie. Słaniającym się krokiem podszedł do niej, upuścił swą maczugę i runął na ziemię. Działo się z nim stanowczo coś niedobrego. Mózg trawił mu ogień. Czuł, że dusza jego rwie się w kawały. Nagle rzucił okiem za siebie i spotrzął olbrzymi kształt zabitego niedźwiedzia. Widok ten przeraził go. Krzyknął strasznie i



zerwał się jakby do ucieczki. Byłby też uciekł, gdyby nie goście, którzy zatrzymali go i zaprowadzili do willi.

\* \* \*

James J. Ward i dziś jeszcze stoi na czele firmy Ward, Knowles & C<sup>o</sup>. Ale nie mieszka już na wsi. Nie włóczy się już też nocami i nie ściga kuyotów w blasku księżyca. Pierwotny Teuton skończył w nim tej nocy, kiedy walczył z niedźwiedziem w Mill Valley. James J. Ward jest teraz sobą w całej pełni tego słowa. Nie dzieli już swej egzystencji z tym *nieznany*, przybyszem-włóczęgą, synem młodego świata. James J. Ward jest dziś tak dokładnie człowiekiem cywilizacji, że zna całą gorycz jej strachów. Boi się ciemności, a spędzanie nocy w lesie jest dlań rzeczą nie do pomyślenia. Miejska jego rezydencja jest zupełnie nowoczesną i posiada wszelkie możliwe zabezpieczenia od włamywaczy. Cały dom jest otoczony gęstą siecią drutów elektrycznych, a goście po udaniu się na spoczynek dosłownie boją się oddychać aby nie wywołać alarmu. James J. Ward wynalazł nawet bardzo skomplikowany zatrzask do drzwi nie wymagający klucza. Zatrzask ten każdy podróżujący może nosić w kieszeni od kamizelki i aplikować niezwłocznie z wielkim powodzeniem przy wszelkich okolicznościach. Żona jednak wcale nie uważa go za tchórza. Ona wie najlepiej. James J. Ward jest bohaterem i zwy-

kłą kolejną losów bohatera spoczywa dziś na laurach.  
Zresztą odwaga jego nigdy nie była podawana w  
wątpliwość przez tych z pośród przyjaciół, którzy  
byli świadkami wypadku w Mill Valley.



Peter Winn siedział w swym gabinecie, wygodnie rozparty w fotelu. Oczy miał zamknięte. Pograżył się całkowicie w zadumę. Rozważał szczegóły planu pewnej kampanji, którą chciał {przeprowadzić w najbliższej przyszłości, mając zamiar unicestwić w ten sposób koterję wrogich mu finansistów. Główny pomysł przyszedł mu do głowy ubiegłej nocy. Teraz obmyślał dalsze szczegóły planu, pomniejsze detale. Dążył do rozciągnięcia swych wpływów na pewną strefę górnej części kraju. Urządzenie dwóch składów głównych oraz kilku agencji pozwoliłoby mu ośwładnąć pewną linją, której nazwy nie wymienimy tutaj, linji, która w rękach Winna mogła stać się kluczem do całej sieci głównych dróg. Plan był tak prosty, że Winn omal nie roześmiał się głośno, kiedy nagle przyszedł mu do głowy. Cały pomysł był właśnie zbyt mało skomplikowany i nic dziwnego, że nie wpadli nań jego przebiegły a odwieczni konkurenci.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się. Wszedł mężczyzna w średnim wieku. Miał binokle i bardzo zmęczone oczy. W ręku trzymał otwartą kopertę i

wyjęty z niej list. Był to sekretarz Petera Winn. Przeglądanie, sortowanie i klasyfikacja korespondencji, nadchodzącej do pryncypała, należały do jego obowiązków.

— Ten list przyszedł z ranną pocztą — usprawiedliwił się z dyskretnym uśmiechem. — Treść jest oczywiście bez znaczenia. Przypuszczałem jednak, że dobrze będzie pokazać go panu.

— Proszę przeczytać — polecił Peter Winn, nie otwierając oczu.

Sekretarz odchrząknął.

— Datowane 13-go lipca. Adres nie wskazany. Stempel poczty z San Francisco. Naogół zupełnie niegramatyczne. Pisownia fatalna. Oto tekst.

*„Pan Peter Winn.*

*Posyłam panu z szacunkiem przez ekspres gołębia wartającego dużo pieniędzy. Jest to loo-loo”.*

— Co to jest loo-loo? — wtrącił Peter Winn. Sekretarz zachichotał dyskretnie.

— Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że to musi być jakiś przymiotnik. Dalej pisze tak:

*„Proszę wypuścić go na wolność wraz z kilkoma banknotami tysiąc dolarowemi. Jeśli pan usłucha, to nie będę się panu więcej naprzykrzać. W przeciwnym razie będzie pan mieć wielkie zmartwienie”.*

— To już wszystko. Podpisu brak. Sądziłem, że list ten rozweseli pana.

— Czy gołąb przybył? — spytał Peter Winn.

— Nie pytałem nawet.



— Więc proszę się dowiedzieć.

Służbisty sekretarz powrócił w przeciągu pięciu minut.

— Tak jest, proszę pana. Przybył dziś rano.

— Proszę mi go przynieść.

Sekretarz miał zupełnie szczerą chęć potraktować całą sprawę jako dobry żart, ale Peter Winn, obejrzawszy gołębia nabrał zdania wręcz odmiennego.

— Proszę spojrzeć na tego gołębia — mówił do sekretarza. — Widzi pan tę niezwykłą długość ciała, tę wspaniałą szyję? To jest prawdziwy pocztowiec. Nie ręczę czy widziałem kiedykolwiek równie pięknego. Jakie potężne ma skrzydła, co za mięśnie. Nasz anonimowy korespondent nazywa go loo-loo. Korci mnie żeby zatrzymać tego gołębia.

Sekretarz zachichotał.

— Dlaczegożby nie? Przecież nie pośle go pan z powrotem do autora listu.

Peter Winn potrząsnął głową.

— Owszem odpiszę mu. Nie boję się nikogo. Nawet tego anonimowego szaleńca.

Wziął wąski skrawek papieru, napisał na nim zwięzłe zdanie, składające się z czterech słów: „idź pan do diabła“, zaopatrzył w swój podpis i włożył do małej rurki, przytwierdzonej do nogi ptaka.

— Teraz wypuścimy go na wolność. Ale! Gdzie jest mój syn? chciałbym żeby zobaczył lot tego gołębia.

— Jest na dole, w warsztacie. Spędził całą

noc przy maszynie, a zrana kazał sobie przynieść tam śniadanie.

— Skręci sobie jeszcze kiedy kark — zauważył Peter Winn nawpół gniewnie nawpół z dumą, poczem udał się na werandę.

Stanął na najwyższym stopniu szerokich wschodów i podrzucił pięknego ptaka wysoko w górę. Gołąb zatrzepotał się w powietrzu, zakołował niezdeterminowanie, poczem wzbil się jak strzała.

Znajdując się na pewnej wysokości jeszcze zdawał się wahać. Potem widocznie opanowując kierunek, skierował się na wschód, lecąc ponad dębami, które porastały całą okolicę, czyniąc ją podobną do parku.

— Wspaniale, wspaniale — mruczał Peter Winn. — Doprawdy chciałbym mieć tego gołębia z powrotem.

Ale Peter Winn był człowiekiem bardzo zajęтым. W głowie miał tak dużo wielkich planów, a czasu mało, stanowiąc za mało. Szybko też zapomniał o tym małym wypadku. Jednak w trzy dni potem oficyna jego podmiejskiej willi wyleciała w powietrzu. Wybuch nie był zresztą wielki i nikt z mieszkańców nie odniósł ran, ale oficyna legła w gruzy. W głównym budynku większość szyb wyleciała z okien, pozatem było dużo ogólnych strat. Na drugi dzień rano pierwszy prom z San Francisco przywiózł pół tuzina detektywów, a w kilka godzin później sekretarz w stanie najwyższego podniecenia wpadł do gabinetu swego szefa,



— Przybył. przybył — wymamrotał, ciężko od-  
ychając i ocierając pot z czoła.

— Kto przybył? — spytał Peter Winn.

— Ten... ptak... loo-loo.

Finansista zrozumiał.

— Czy przejrzał pan już dzisiejszą pocztę?

— Zabierałem się właśnie do tego, proszę pa-  
na.

— Więc zabierz się pan. Przypuszczam, że  
musi tam być nowy list od naszego tajemniczego  
przyjaciela, hodowcy gołębi pocztowych.

List znalazł się rzeczywiście.

*„Wielce Szanowny Panie, — pisał anonimowy  
autor — zechćciej pan łaskawie nie robić ze mnie  
warjata. Gdybyś pan usłuchał, pańska willa nie wy-  
leciałaby w powietrze. Przy niniejszym więc mam  
zaszczyt posłać panu tego samego gołębia. Proszę  
zaopiekować się z nim starannie, za co z góry dzie-  
kuję. Proszę zatem przywiązać mu do nogi pięć bank-  
notów tysiącdolarowych i wypuścić go. Nie karmić  
go zupełnie. Proszę też nie próbować śledzić dokąd  
leci. Zna on już teraz dobrze drogę i przyleci prę-  
dzej. Proszę wykonać to wszystko zupełnie, inaczej  
biada panu“.*

Tym razem Peter Winn rozgniewał się napraw-  
dę. W korespondencję się nie bawił, zatomiast za-  
wołał detektywów i zgodnie z ich radą obciążył go-  
łębia śrutem. Pamiętał, że poprzednio kierunek lotu  
ptaka wiódł na wschód przez zatokę. Wynajął więc  
najszybszą motorówkę z Tiburon, która miała udać

się w pościg za ptakiem jeśli ten ostatni i tym razem poleciał nad wodą.

Ale balast, którym obciążono gołębia był zbyt wielki. Siły ptaka wyczerpały się szybko. Gołąb nie doleciał nawet do wybrzeża. Wówczas popełniono nowy błąd, zanadto zmniejszając balast. Gołąb niezwłocznie wzbił się bardzo wysoko, zorientował w kierunku i poszybował na wschód, nad zatoką San Francisco. Potem poleciał wprost nad Wyspą Anielską i tu właśnie załoga motorówki straciła go z oczu, gdyż musiała okrążyć wyspę.

Tej nocy uzbrojona straż patrolowała posiadłości Petera Winn. Wybuchu nie było. Jednakże już nad ranem finansista otrzymał telegraficzną wiadomość o spłonięciu w Alameda domu jego siostry. W dwa dni potem gołąb przybył z powrotem. Tym razem nadesłano go za frachtem w czymś co wyglądało na beczkę od kartofli. Jednocześnie nadszedł nowy list.

*„Czcigodny Panie. To ja zniszczyłem dom pańskiej siostry. Niebezpiecznie jest zadzierać z diabłem co? Przyślij pan teraz dziesięć tysięcy. Ceny na rynku mają tendencję zwyżkową. Ale wogóle jakoś tam idzie. Niech pan nie obciąża gołębia balastem. To nie jest żaden wyścig handicapowy. Zresztą pan nie może udać się za nim w pościg. Jest to więc bezużyteczne, jak również okrutne względem ptaka”.*

Peter Winn gotów już był uznać się za pokonanego. Detektywi ujawnili zupełną bezsilność. Przytem



finansista obawiał się zemsty tego człowieka. Cho-  
dziło mu o bezpieczeństwo i życie osób bliskich i  
drogich. Telefonował nawet do San Francisco aby  
przysłano mu dziesięć tysięcy dolarów w grubszych  
banknotach. Ale Peter Winn miał syna. Był to Peter  
Winn młodszy, który również jak ojciec odznaczał  
się mocno osadzoną szczęką, a w oczach miał tę  
samą stanowczość. Liczył zaledwie dwadzieścia sześć  
lat, był jednak mężczyzną w każdym calu. Dla fi-  
nansisty był on niewyczerpanym źródłem obaw i  
dumy. Z czynów syna się chlubił, ale jednocześnie  
drepczyło go ustawicznie widmo przedwczesnej i tra-  
gicznej śmierci młodzieńca.

— Czekaj, papo. Nie posyłaj tych pieniędzy —  
rzekł Peter Winn młodszy. — Mój samolot № 8 już  
jest gotów, ja zaś ostatnio wydoskonalilem mój spo-  
sób zmniejszania powierzchni skrzydeł. Pewien je-  
stem, że wywoła on zupełny przewrót w lotnictwie.  
Trzeba tylko dążyć do osiągnięcia największej szyb-  
kości i zredukowania roli wielkich powierzchni skrzy-  
deł tylko do startu i utrzymania się na wysokości.  
Opanowałem I jedno i drugie. Osiągnąwszy wyso-  
kość zmniejszam powierzchnie. Jest to środek nie-  
zawodny. Im więcej zmniejsza się powierzchnię tar-  
cia tem większą osiąga się szybkość. Langley ustalił  
to prawo, ja zaś zastosowałem je w praktyce. Mogę  
więc wzbic się kiedy powietrze jest zimne i pełne  
dziur, mogę latać i wtedy, kiedy jest ogrzane. Zaś  
możność dowolnego zmieniania powierzchni skrzy-  
deł aeroplanu, pozwala mi osiągać prawie każdą

szybkość, szczególnie przy tym nowym silniku Sangster-Endholm.

— Przepowiadam ci chłopcze, że skreślisz ty sobie kark pewnego dnia — zabrzmiała nie dodająca bynajmniej odwagi odpowiedź ojca.

— Tatku, słowo daję, że dojdę do szybkości dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Nawet więcej. Będę w stanie osiągnąć całą setkę. A teraz posłuchaj. Jutro właśnie miałem zamiar zrobić próbę. Mogę jednak uczynić ją nawet dzisiaj. Przecież to wszystko razem nie zabierze mi nawet dwóch godzin czasu, Wylecę więc dziś popołudniu. Schowaj zatem pieniądze, daj mi natomiast gołębia. Polecę za nim aż do gołębnika, w którym się wylągl. Zaczekaj chwilę, tatku, zaraz pogadam z moim mechanikiem.

Zbiegł na dół do warsztatu i w oderwanych, zwięzłych zdaniach wydał odpowiednie polecenia robotnikom. Sposób, w jakim je wydawał przypadł ojcu do gustu. Poczul, że jego jedynak jest nieodrodną latoroślą starego dębu, a Peter Winn nie nazbyt nisko cenił wartość tego ostatniego.

Punktualnie co do minuty młodzieniec w dwie godziny potem gotów był do odlotu. Na biodrze jego wisiał wielkokalibrowy rewolwer, z podniesionym bezpiecznikiem, gotowy do natychmiastowego użytku. Po dokładnym zbadaniu wszystkich części aeroplanu usadowił się wygodnie w siodełku. Puścił w ruch silnik. Rozległy się odgłosy eksplozji gazu, zawarczało śmigło, wspaniałał samolot poto-



czył się po łące i wzbił majestatycznie w powle-  
trze.

Lotnik, w miarę stopniowego osiągnięcia wyso-  
kości, zataczał szerokie koła, zawracał i manewro-  
wał. Widać było, że przygotowuje się do prawdzi-  
wego startu w tym wyścigu.

Start ten zależał jednak od gołębia, którego  
na dole trzymał Peter Winn starszy. Tym razem pta-  
ka nie obciążono żadnym balastem. Zamiast śrutu  
przymocowano mu do nogi pół jarda jasnej wstąż-  
ki. Uczyniono to w celu ułatwienia lotnikowi pogo-  
ni. Peter Winn wypuścił ptaka. Nie bacząc na lekki  
balast w postaci wstążki gołąb wzbił się w po-  
wietrze dość łatwo. W ruchach jego nie było ża-  
dnej niepewności. Drogę odbywał już dwa razy i  
znał dobrze kierunek.

Na wysokości kilkuset stóp zawrócił raptownie  
i poszybował wprost na wschód. Aeroplan wówczas  
skreślił również i podążył wślad za ptakiem. Teraz  
dopiero rozpczął się prawdziwy pościg. Peter Winn  
starszy, patrząc przez lunetę, zauważył że gołąb wy-  
przedza samolot. Niebawem jednak spostrzegł coś  
innego jeszcze. W wyglądzie aparatu zaszła nagła  
zmiana. Powierzchnie jego skrzydeł zmniejszyły się  
raptownie. Aeroplan zaczął osiągać swą najwyższą  
szybkość. Wielki szerokoskrzydły aparat stał się  
niedużym, ludzaco podobnym do sokoła monoplanem,  
balansującym na długich i nadzwyczaj wąskich  
skrzydłach.

Lotnik sam zdumiał się, wykonawszy te zmia-

ny w swej maszynie. Była to pierwsza próba nowego pomysłu. Był przygotowany, że ze zmniejszeniem powierzchni skrzydeł nastąpi powiększenie szybkości. Nie przypuszczał jednak, by zdołał osiągnąć tak *zdumiewającą* szybkość. Przeszła wszelkie jego oczekiwania. Zanim zdążył sobie zdać z tego dokładnie sprawę, już znalazł się nad gołębiem.

Mały ptak, przerażony nagłym pojawieniem się tego największego sokoła, jakiego widział kiedykolwiek, niezwłocznie wzbił się wzwyż. Postąpił zgodnie z ogólnym zwyczajem gołębi, które zawsze dążą do osiągnięcia tą drogą przewagi nad drapieżnikami.

Monoplan zataczając wielkie kręgi podążył wszad za ptakiem, wlatując coraz wyżej i wyżej w błękity. Z ziemi nie można już było dojrzeć gołębia. Stał się niedostrzegalnym i lotnik starał się nie tracić go z oczu. Aby wzbić się jeszcze prędzej w górę zmniejszył jeszcze więcej powierzchnię skrzydeł swego aparatu. Tak ofiara jak i prześladowca wlatywali wciąż wyżej. Wreszcie gołąb idąc za instynktem spadł raptownie i uderzył w to, co uważał za grzbiet goniącego go napastnika. To jedno natarcie wystarczyło mu w zupełności. W gładkiej, płóciennej powierzchni skrzydeł aparatu nie znalazł widocznie życia. Przestał więc wlatywać ku górze i poszybował znów na wschód.

Gołąb pocztowy w przelocie może wykazać nadzwyczajną wprost szybkość, przeto Peter Winn niebawem odczuł potrzebę ponownego zmniejsze-



szenia powierzchni skrzydeł aparatu. I znów przekonał się, ku swej radości, że wyprzedza gołębia. Z dalszym manewrowaniem nie kwapił się. Wiedział już, że jest panem wyścigu. Od chwili kiedy nabrał tego przekonania, poczęła mu się na wargi cisnąć pewna znana piosenka. Nucił ją już potem bez przerwy, a zupełnie zresztą nieświadomie przez cały czas przelotu. Piosenka rozpoczynała się zwrotką:

„Jakoś idzie, jakoś idzie,  
Wszak mówilem ci, że jakoś idzie.

Ale przelot nie był tak zupełnie pozbawiony przeszkód. Powietrze w najlepszym razie jest niepewnym środowiskiem. W pewnej chwili aparat został porwany przez potężny prąd powietrzny. Lotnik poznał niezwłocznie mocarny podmuch wiatru, wiejącego od rozwartej paszczy Golden Gate. Prąd wciągnął przedewszystkiem prawe skrzydło jednopłatowca. W następnej zaś chwili cały aparat stał się igraszką groźnego podmuchu, który podrzucał go to tu to tam, grożąc przewróceniem. Ale lotnik zwolnił hamulec i szybko, ale przezornie wykręcił kąty skrzydeł, zniżył przedni ster kierunku, poczem przerzucił ster wysokości, aby zwrócić aparat przeciwno wiatrowi. Zdołał wreszcie wyrównać go. Lotnik jednak wiedział, że znajduje się teraz całkowicie na fali niewidzialnego prądu, uporządkował przeto kąty skrzydeł, zmniejszył znów ich powierzchnię o dalsze kilka jardów i wreszcie puścił się znowu w pogoń za gołębiem, który, korzystając tymczasem z chwi-

lowej trudności sytuacji swego prześladowcy, odleciał już dość daleko.

Gołąb szybował w kierunku wybrzeży hrabstwa Alameda. Zbliżył się do nich właśnie w chwili, kiedy Winn miał nowy wypadek. Dostał się mianowicie w dziurę powietrzną. Nie było to dlań właściwie nic nowego. W poprzednich swych lotach niejedną raz już wpadał w takie dziury. Ta jednak była większą od napotykaných dawniej. Spadał z oczami wlepionymi we wstążkę, przytwierdzoną do nogi gołębia. Ten barwny skrawek materji mówił mu o gwałtowności spadania aparatu. Lotnik spadał z tem znanem uczuciem ściskania w żołądku, które pamiętał jeszcze z tych czasów, kiedy będąc małym chłopcem próbował jazdy na szybko wznoszących się elewatorach. Zgłębił jednak wszystkie tajemnice awiacji i wiedział dobrze, że aby wzbić się wzwyż należy niekiedy wprzód opać wdół. Powietrze odmówiło utrzymania jego aparatu. Zamiast więc walczyć bezskutecznie i narażać się na dalsze niebezpieczeństwo z powodu braku oparcia, poddał mu się w zupełności. Natężywszy uwagę do ostatecznych granic, pewną dłonią zniżył przedni ster wysokości i jednopłatowiec nagle dał nurka w tę pustkę. Spadał teraz jak kamień. Z każdą chwilą szybkość upadku zwiększała się w przerażający sposób. Ale lotnik dążył tą drogą do opanowania sytuacji. Ratował się. Potrzebował na to zresztą tylko chwili. Nadeszła wreszcie. Lotnik przełożył stery i raptownie



wymknął się z pustki, osiągając jednocześnie równowagę.

Znów więc pogonił za gołębiem, który na wysokości pięciuset stóp przeleciał nad miastem Berkeley i skierował się w stronę wyżyny Contra Costa. Młody Winn spostrzegł rozrzucone w dole bloki starej swej uczelni, Uniwersytetu Kalifornijskiego, poczem wzbił się znów do góry aby dopędzić ptaka.

Jeszcze nad temi samemi wzgórzami Contra Costa omało że nie poniósł awarii. Gołąb leciał teraz nisko tuż nad gęstym gajem eukaliptusów. Gaj ten był solidną zaporą dla wichury. Nagle ptak zatrzepotał się gwałtownie i poderwał o jakieś sto stóp wzwyż. Winn domyślił się zaraz przyczyny tego zjawiska. Silny wiatr zachodni bił w zwartą ścianę gaju. Gołąb został porwany przez powrotną falę roztrzącającego się powietrza. Widząc to lotnik znów uciekł się do swego wypróbowanego już środka. Zmniejszył szybko powierzchnię skrzydeł, a jednocześnie zniżył przód aparatu, aby spotkać i rozbić powracającą falę. Pomimo tego jednopłatowiec został jednakże podrzucony o jakieś trzysta stóp w górę. Ale już w następnej chwili wydobył się z tej niebezpiecznej sfery.

Gołąb minął jeszcze dwa dalsze łańcuchy wzgórz. Wreszcie Winn spostrzegł, że ptak opada na ziemię. Zobaczył otwartą polankę na zboczu wzgórz. Stała tam niewielka chata. Lotnik odczchnął na widok tej polany. Była nietylko nader do-

godna dla wylądowania, ale prócz tego ze względu na spadzistość terenu ułatwiała wzbicie się w powietrze.

Na widok powracającego gołębia z chaty wyszedł człowiek, trzymający w ręku gazetę. Widocznie zdziwiło go burczenie silnika aeroplanu Winna. Spojrzał w górę i dostrzegł wielki jednopłatowiec, składający właśnie skrzydła do wylądowania. W następnej chwili aparat osiadł na ziemię, potoczył kilka jardów i zatrzymał w odległości jednej stopy od właściciela chaty. Zdziwienie tego ostatniego zamieniło się w przestrach. Ujrzał lotnika, siedzącego spokojnie na siodełku aparatu i mierzącego doń z rewolweru. Na ten widok rzucił się do ucieczki. Zanim jednak zdążył dopaść do węgła swego domostwa, lotnik strzelił. Kula trafiła w nogę uciekającego. Krzyknął strasznie i runął na ziemię.

— Czego pan chce odemnie? — spytał pośpiesznie lotnika, stojącego nad nim z lufą wycelowanego rewolweru.

— Zapraszam pana na małą przejażdżkę moim nowym jednopłatomsem — odparł Winn. — Zaręczam panu, że jest to doskonały aparat. Prawdziwy loo-loo.

Ranny nie oponował długo. Ten dziwny przybysz operował wysoce przekonywującymi argumentami. Idąc za wskazówkami Winna, popartymi błyszczącą lufą rewolweru, zaimprovizował sobie bandaż i przewiązał nim ranną nogę. Winn pomógł mu wgramolić się na maszynę, poczem poszedł do



gołębnika i zabrał stamtąd ptaka z wstążką, przywiązaną do nogi.

Więzień okazał się nadzwyczaj posłusznym. Po oderwaniu się aparatu od ziemi siedział spokojnie. Był przerażony. Będąc zwolennikiem skrzydlatego szantażu, nie posiadał żadnych zdolności do lądowania. Zerkając na mknące w dole ze straszliwą szybkością lądy i morze, nie odważył się napaść na swego gnębiciela, nie bacząc na to, że ten ostatni miał teraz zajęte obie ręce.

Odczuwał całą bezsilność swego położenia wśród przestworzy.

Peter Winn starszy, badając horyzont przez silną lunetę, dostrzegł nareszcie jednopłatowiec, wylądowujący nad wyspą Anielską. W kilka minut później finansista zakomunikował detektywom, że w aeroplanie prócz pilota znajduje się pasażer. Wreszcie aeroplan wylądował tuż przed samą willą.

— Udał mi się ten pomysł zmniejszania powierzchni — krzyknął młody Winn, zeskakując z siodełka. — Jest doskonały. Widziałeś, tатku, mój start? Wprost pędziłem w powietrzu za gołębiem. Jakoś to idzie, tатku. Mówiłem ci przecież, że to jakoś idzie.

— No, dobrze — odezwał się ojciec. — Ale kogóż to przywoziłeś z sobą?

Młody lotnik obejrzał się. Spostrzegł więźnia i przypomniał sobie nagle.

— Ach, ten? To jest przecież nasz hodowca

gołębi. Przypuszczam, że policja zaopiekuje się nim teraz.

Peter Winn bez słowa odpowiedzi uściśnął mocno dłoń syna. Potem począł pieścić gołębia, którego mu podano. Jeszcze raz potrząsnął rękę syna i znów popieścił pięknego ptaka. Odezwał się dopiero w chwilę potem.

— Wystawić aparat mojego syna na widok publiczny — rzekł.



## ODWAGA PANI SETLIFFE.

Krażyła swobodnie po wielkich pokojach i rozległych hallach, nie bacząc na to, że mieszkanie mało było oświetlone. Poszukiwała napróżno tomu poczuj, niedoczytanego i zarzuconego gdzieś, temu, o którym teraz dopiero przypomniła sobie. W bawialni zapaliła światło. Zwierciadła odbiły jej postać przybraną w faldzisty płaszcz z miękkiej różowej materji. Z powodzi koronek wychylały się obnażone ramiona i szyja. Na palcach miała wciąż wszystkie pierścienie, a jej jasne i bujne włosy nie były jeszcze rozpuszczone. Była subtelnie, wdzięcznie piękna. Miała niepokalany owal twarzy i czerwone wargi i delikatne rumieńce na policzkach. Oczy jej były błękitne, ale należały do tego gatunku oczu-kameleonów, które na żądanie patrzą dziewczęco niewinnie, niekiedy zaś stają się stalowo szare lub djamentowo chłodne, względnie zapalają władczym płomieniem woli.

Zapaliła światła i przeszła przez hall do pokoju porannego. W progu jednak zatrzymała się nagle, wyteżając słuch. Z oddali doleciał nie odgłos, ale raczej cień szmeru, czy lekkiego poruszenia. Mogła

przysiąc, że właściwie nie dosłyszała nic, a jednakże nie była w stanie oprzeć się wrażeniu, że coś było. Coś zakłóciło atmosferę spokoju nocy. Była tego pewna. Ktoś ze służby widocznie musiał się włóczyć po mieszkaniu. Ale kto? Przecież nie kamerdyner. Ten znany był ogólnie ze swych zwyczajów wczesnego udawania się na spoczynek. Czynił to zawsze wyjąwszy osobliwych okazji. Nie mogła to być również pokojówka. Pozwoliła jej przecież wyjść na cały wieczór.

Skierowała się ku jadalni. Drzwi były zamknięte. Otworzyła je i weszła. Sama nie wiedziała czemu to uczyniła. Miała jednak mgliste przeczucie, że tam właśnie znajdowało się źródło owego niepokojącego szmeru. W jadalni było ciemno. Namacała palcem guzik i przycisnęła, ale kiedy pokój załało jarzące światło cofnęła się mimowoli z okrzykiem przerażenia. Było to krótkie „Och“. Nic więcej i brzmiało niezbyt głośno.

Stała nieruchomo z ręką przy guziku od elektryczności i patrzyła na człowieka, który przywarł tak do ściany, że zdawałoby się stanął z nią jedną całość. W ręku człowieka tkwił wycelowany wprost na nią rewolwer. Pomimo całego przerażenia, które ja ogarnęło na ten widok, zdążyła zauważyć, że broń była szmelcowana czarno i miała bardzo długą lufę. Domyśliła się, że to jest Colt. Człowiek był wzrostu średniego, ubrany trochę z waszecia, miał piwne oczy i pleć smagłą, ogorzałą od słońca. Wydawał się nader spokojnym. Rewolwer



był wymierzony wprost w jej ciało, nie z wyciągniętej jednak ręki, lecz z biodra, na którym opierał się łokieć człowieka.

— Och — wyrzekła. — Przepraszam. Przeraziłam się. Czego tu pan właściwie szuka?

Wargi człowieka zadrgały od powstrzymywanego śmiechu.

— Właściwie szukałem wyjścia. Zabłądziłem w tym labiryncie. Jeżeli pani zechce łaskawie wskazać mi wyjście, to zaręczam że opuszczę ten dom, nie sprawiając dalszego kłopotu.

— No, dobrze. Ale co pan robił tutaj? — zapytała szorstkim nieco tonem kobiety, przyzwyczajonej do wydawania rozkazów.

— Kradłem, proszę pani. To wszystko. Rozglądałem się właśnie, szukając co mógłbym stąd zabrać. Sądziłem że pani niema w domu. Widziałem przecież jak wsiadała pani do auta w towarzystwie starszego pana. Przypuszczam, że był to pani ojciec. Zapewne jest pani panną Setliffe.

Pani Setliffe spostrzegła błąd i postanowiła nie wyprowadzać zeń nocnego przybysza. Błąd zresztą pochlebiał jej. Był dla niej mimowolnym komplementem.

— Skądże pan wie, że jestem panną Setliffe? — spytała.

— Wszakże to jest dom starego Setliffe'a, nieprawdaż?

Skinęła głową.

— Nie wiedziałem, że stary ma córkę. Odgad-

łem oczywiście, że pani musi nią być. Teraz zaś poproszę uprzejmie o wskazanie mi wyjścia, jeśli to nie sprawi pani nadmiernego kłopotu.

— Nie widzę powodu. Dlaczego właściwie miałabym to uczynić? Jest pan przecież złodziejem i włamywaczem.

— Istotnie — odciął się szybko. — Nie jestem jednak brutalnym prostakiem. Gdyby tak było, to zamiast rozmawiać grzecznie, zdarzyłbym pani napewno te pierścionki z palców. Ale przyszedłem tu jedynie aby podskubać starego Setliffe'a, nie zaś rabować klejnoty niewiastom. Jeżeli jednak pani nie zechce się usunąć z drogi, naówczas postaram się sam odszukać wyjście.

Pani Setliffe była przenikliwą kobietą. Poczula w tej chwili, że nie potrzebuje się obawiać człowieka tego rodzaju. Powzięła zresztą pewność, że nie był to zwykły rzezimieszek. Ze sposobu jego mówienia zgadywała również, że nie był mieszkańcem miast. Wyczuwała wiejące odeń tchnienie szerokich, wolnych obszarów.

Przygoda zaczęła ją intrygować.

— Przypuśćmy jednak, że zaczęę krzyczeć — rzekła. — Mogłabym przecież zawołać o pomoc. Sądzę, że nie zastrzeliliby pan... kobiety.

Zauważyła przelotny błysk piwnych oczu. Odpowiedział wolno i po dłuższym namyśle, jakby rozstrzygał nader trudne zagadnienie.

— Myślę, że w takim wypadku zatkałbym pani usta. Ogłuszyłbym panią wreszcie.



— Jako, kobiety?

— Tak, to trudno — odparł. Zobaczyła w tej chwili, że usta jego zaciskają się ponuro. — Pani jest tylko słabą kobietą, to prawda. Ale, widzi pani, ja nie mogę pozwolić na to aby mnie wtrącono do więzienia. Nie, proszę pani. W żadnym razie. Tembardziej, że na Zachodzie oczekuje na mnie przyjaciel. Znajduje się w bardzo kłopotliwej sytuacji, w której muszę mu dopomóc.

Tu jego wargi zacisnęły się ponownie, przybierając jeszcze więcej stanowczy wyraz.

— Przypuszczam zresztą — dodał, — że zdołałbym zatkać pani gardło, jednocześnie nie czyniąc żadnej krzywdy.

Jej oczy przybrały nagle wyraz dziecięcej naiwności.

— Nigdy dotąd nie widziałam włamywacza — rzekła. — Wprost nie umiem wypowiedzieć do jakiego stopnia pan mnie zaciekawia.

— Nie jestem włamywaczem, proszę pani. To jest, nie zupełnie — dodał pośpiesznie, widząc jej ubawione a zarazem niedowierzające spojrzenie. — Rozumiem że znajdując się tutaj muszę wyglądać na włamywacza. W istocie jednak przedsięwziąłem to po raz pierwszy w życiu. Potrzebowałem bardzo pieniędzy. Pozatem wogóle uważam, że zabieram raczej to co powinno należeć do mnie.

Uśmiechnęła się, jakby zachęcając go do dalszych zwierzeń.

— Tego już nie rozumiem — rzekła. — Prze-

cież pan przyszedł tu w celu dokonania kradzieży. Kraść zaś znaczy zabierać coś, co należy do innego człowieka.

— I tak i nie. W tym wypadku zdania mogą być podzielone. Przepraszam jednak panią. Sądzę, że już czas na mnie.

Mówiąc to posunął się w kierunku drzwi jadalni. Ona jednak niezwłocznie zagroziła mu drogę, czyniąc z siebie zachwycającą przeszkodę. Lewa ręka mężczyzny podniosła się. Wyglądało to jakby miał zamiar schwycić ją za ramię. Potem jednak rozmyślił się. Był poprostu steroryzowany jej przesłodka kobiecością.

— Aha — wykrzyknęła triumfująco. — Wiedziałam, że pan się nie ośmieli.

Mężczyzna był zakłopotany.

— Dotychczas jeszcze nigdy nie podniosłem ręki na kobietę — tłumaczył się. — Widzę, że nie przychodzi mi to zbyt łatwo. Uczynię to jednak na pewno, jeżeli tylko pani krzyknie.

— Czy nie zechce pan pozostać tu jeszcze kilka minut? — nastawała. — Porozmawiamy trochę. Jestem zaintrygowana. Pragnęłabym bardzo dowiedzieć się jakim sposobem doszedł pan do rozumowania, że drogą rabunku zabiera się rzeczy nie cudze lecz swoje.

Spojrzał na nią z podziwem.

— Myślałem zawsze, że kobiety boją się złodziei — wyznał. — Pani zaś nie wygląda zupełnie na przestraszoną.



Roześmiała się beztrasko.

— Bo są złodzieje i złodziej. Nie boję się pana, gdyż mam pewność, że nie należy pan do rzędu ludzi, którzy mogą skrzywdzić kobietę. Proszę, porozmawiajmy chwilę. Nikt nam tu nie przeszkodzi. Jestem zupełnie sama dziś w domu. Mój... mój ojciec wyjechał nocnym pociągiem do Nowego Yorku. Służba śpi. Chciałabym pana poczęstować czemkolwiek. Kobiety przecież zawsze przyjmują kolację wlamywaczy, których zastają na gorącym uczynku kradzieży. Tak przynajmniej dzieje się w powieściach. Nie wiem tylko gdzie są schowane potrawy. Ale może wypilby pan cokolwiek?

Wahał się z odpowiedzią. Widziała jednak, że w oczach jego rósł podziw dla jej odwagi.

— Nie boi się mnie pan, nieprawdaż? — pytała. — Nie otрую pana. Zaręczam. Będę pić wraz z panem aby usunąć wszelkie wątpliwości.

— Pani wprawia mnie w zdumienie — zdecydował wreszcie, zdejmując po raz pierwszy dłoń z kolby rewolweru i pozwalając mu luźno zawisnąć u boku. — Teraz już nikomu nie pozwolę zapewniać mnie, że kobiety miejskie są tchórzliwe. Pani jest odważną małą ślicznotką. Najwięcej zaś zdumiewa mnie pani ufność. Proszę mi wierzyć, że niewiele znalazłoby się kobiet, a nawet bodajże i mężczyzn, którzyby z uzbrojonym w rewolwer bandytą prowadzili rozmowę, w sposób równie swobodny jak pani.

Uśmiechnęła się. Pochlebiał jej ten komple-

ment. W tej chwili twarz jej przybrała wyraz poważny.

— To dla tego że pan mi się podoba. Wygląda pan stanowczo zbyt uczciwie na złodzieja. Pan nie powinien już więcej tego czynić. Jeśli się jest w potrzebie to należy jąć się jakiegokolwiek pracy. Proszę niechże pan nareszcie odłoży zupełnie swój wstrętny rewolwer. Pomówmy trochę. Pan powinien znaleźć odpowiednie zajęcie. Oto wszystko.

— Tylko nie w tem mieście — zauważył z gorzką ironją. — Zdarłem już niejedną parę obuwia i nabyłem niejednen odcisk, uganiając się za zajęciem. Byłem dawniej uczciwym. Byłem pięknym doprawdy okazem mężczyzny... zanim zacząłem poszukiwać zajęcia.

Wesoły śmiech, jakim przyjęła jego satyryczne oświadczenie, sprawił mu oczywistą przyjemność. Zauważyła to szybko i skorzystała natychmiast ze swej przewagi. Pewnym krokiem podeszła do kredensu.

— Doskonale. Musi mi pan to opowiedzieć więcej szczegółowo. A tymczasem postaram się wynaleźć butelkę jakiegoś trunku. Coby pan wolał? Whisky?

— Owszem, proszę pani. Chętnie, — odpowiedział, idąc za nią. Czujność jednak nie opuszczała go. Ręka znów ujęła kolbę rewolweru, a oczy zezowały nieufnie w stronę niestrzeżonych, rozwarłych naoścież drzwi.



Nalala mu pełny kieliszek, stojąc przy kredensie.

— Obiecałam wypić wraz z panem — rzekła z pewnem wahaniem. Ale nie lubię whisky. Wolalabym napić się sherry.

Wydobyła butelkę sherry i spojrzała nań, oczekując wyrażenia zgody.

— Ależ oczywiście — przytaknął z galanterją. — Whisky jest przecież czysto męskim trunkiem. Nie lubię nawet patrzeć, kiedy kobiety piją whisky. Wino jest dla nich stanowczo więcej odpowiedniem.

Dotknęła swoim kieliszkiem brzegu jego kieliszka. W oczach jej błysnęła sympatja.

— Pijemy więc za pomyślność wyników pańskiego poszukiwania pracy, oby...

Urwała nagle, widząc że na jego twarzy wystąpił wyraz zdziwienia i niesmaku. Zaledwie umoczył wargi w kieliszku. Odstawił go krzywiąc się niemiłosiernie.

— O co chodzi? — spytała troskliwie. — Czy panu nie smakuje ta wódka? Może się pomyliłam co do butelki.

— Wódka ma jakiś niesamowicie dziwny smak — wyznał. — Wydaje się, jakgdyby była przydymioną i przypaloną jednocześnie.

— Och, jakże jestem głupia. Podałam panu szkocką whisky. Pan zaś napewno przyzwyczajony jest do żytniówki. W tej chwili zmienię kieliszki.

Wydawała się niemal macierzyńsko troskliwą.

szukając właściwej butelki i zastępując jeden kieliszek drugim.

— Czy ta jest lepsza? — spytała.

— Tak, proszę pani. Tej nie czuć dymem. Doskonała wódka. Nie piłem takiej od tygodni. Jest w miarę gęsta. Widać odrazu, że nie pochodzi z fabryki chemicznej.

— Czy pan dużo pije?

Pytanie brzmiało nawpół ciekawie nawpół wyzywająco.

— Nie, proszę pani. Nie zanadto wiele przynajmniej. Zdarzało mi się oczywiście, ale dość rzadko. Bywają jednak chwile, kiedy odczuwa się potrzebę tyknięcia kropki dobrego trunku. Wydaje mi się, że tylko co właśnie był moment odpowiedni. A teraz dziękuję pani za uprzejmość i zabieram się do opuszczenia tego mieszkania.

Ale pani Setliffe nie miała zamiaru rozstać się tak prędko ze swym włamywaczem. Nie była wcale romantyczką. Znajdowała jednakże w całej tej niezwykłej przygodzie pewien przyjemny dreszczyk. Poza tem odzyskała w zupełności równowagę ducha. Wiedziała przecież, że niebezpieczeństwa niema. Mężczyzna nie bacząc na swą wydatną szczękę i przenikliwe piwne oczy był nad wyraz potulnym. Jednocześnie w umyśle jej przemknęła myśl o kółku przyjaciół, admirujących jej odwagę. Czyż można było pozostawić sytuację niewyzyskaną?

— Pan jednakże nie wytłomaczył mi jeszcze jednej rzeczy, która mnie interesuje, — rzekła — Nie



dowiedziałam się dlaczego w danym wypadku włamanie równa się zabieraniu tego co do pana należeć powinno. Proszę, niechże pan zechce usiąść na chwilę przy stole i wyjawić mi tę tajemnicę.

Usiadła sama i ruchem ręki zaprosiła go by zajął miejsce naprzeciwko niej. Nie zaniechał swej czujności. Widziała to dobrze. Wzrok jego błędził podejrzliwie dokoła, nie odpoczywając nawet na chwilę, ale powracając zawsze z niemym zachwytem do jej oczu. Wskutek tej czujności wydawał się nawet nieco roztargnionym. Zauważyła nawet, że słuchając jej głosu, jednocześnie starał się pochwycić uchem jakiś podejrzany szmer. Nie rozstał się też z rewolwerem. Broń leżała teraz na stole. Dłonią dotykał jej kolby.

Ale szanse uległy raptownej zmianie. Nie wiedział o tem nic oczywiście. Ten mieszkaniec dzikiego Zachodu, podejrzliwy, i przebiegły, przyzwyczajony do stepów i kniej, nie przypuszczał wcale, że pod stołem, na podłodze tuż koło stopy pani domu znajdował się guzik elektrycznego dzwonka. Nie słyszał nigdy o takim wynalazku. Czyż można się więc dziwić, że nadal wyęczał swą zbyt dużą już czujność.

— To było tak, proszę pani — zaczął spełniając jej życzenie. — Stary Setliffe kiedyś zniszczył mnie zupełnie. Mój interes nie był wyrobiony wówczas, ale szedł. Pracowałem. Każdy przecież będzie pracować ile tylko ma sił, mając przed oczami perspektywę zdobycia kapitału. Nie narzekam

krzesztą na pani papę. On przecież nie zna mnie zupełnie i nie domyśla się nawet, że zrobił mi coś złego. Jest na to zbyt wielkim panem, zbyt dużo ma na głowie i zbyt wieloma milionami obraca żeby mógł kiedykolwiek posłyszeć coś o takim jak ja biedaku. Jest wszak finansistą. Posiada cały sztab fachowców, którzy za niego myślą, za niego układają plany i dla niego pracują. Słyszałem, że niektórzy z nich otrzymują wynagrodzenie większe od listy cywilnej prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ja zaś jestem tylko jednym z tysięcy ludzi, których zniszczył pani ojciec. Oto wszystko.

— Miałem prosię pani, niewielką kopalnię ropy, małą dziurę, obsługiwaną przez maszynę hydrauliczną o sile jednego konia. Ale wkrótce ludzie Setliffe'a zatrzęśli całym okręgiem Idaho, zorganizowali silny trust, poczęli wydobywać ropę w całym kraju i zainstalowali wielki system hydraulicznych maszyn w Twin Pines, podczas gdy ja oczywiście zostałem zgnieciony. Nie zdołałem wrócić sobie mego kapitału. Zdmuchnięto mnie poprostu. I oto dzisiejszej nocy ja nędzarz zupełny, mający w dodatku przyjaciela, znajdującego się w jeszcze cięższej potrzebie, zakradłem się do tego mieszkania mając zamiar wziąć niejako podatek od pani papy. Byłem w potrzebie i uważałem, że biorę tylko swoje.

— Mogę się zgodzić z tem wszystkim co pan powiedział — rzekła. — Wszelako włamanie pozostaje włamaniem. Taka argumentacja nie przydałaby się panu na nic wobec sądu.



— Wiem o tem — przyznał łagodnie. — To co jest prawe nie zawsze bywa legalnem. Dlatego też właśnie czuję się tak nieswojo, siedząc tu i rozmawiając z panią. Nie dlatego aby mi nieprzyjemnem było towarzystwo pani. Przeciwnie jest mi ono nader miłym, ale przecież nie mogę pozwolić aby mnie ujęła policja. Wiem dobrze coby w takim wypadku czekało mnie w tem mieście. W ubiegłym tygodniu pewien młody człowiek dostał piętnaście lat więzienia za skradzenie przechodniowi na ulicy dwu dolarów i osiemdziesięciu pięciu centów. Czytałem o tem w gazetach. W ciężkich czasach, kiedy nie można znaleźć roboty, ludzie stają się desperatami, gotowymi na wszystko. A wtedy inni ludzie, którzy posiadają coś, co można ukraść, również stają się desperatami. Zaczyna się walka. Gdyby mnie ujęto, to nie sądzę żeby mi dano mniej niż dziesięć lat więzienia. To jest właściwy powód, dla którego chciałbym już odejść.

— Nie. Niechaj pan zaczeka jeszcze, — rzekła uprzejmie, zdejmując jednocześnie stopę z dzwonka który nacisnęła przedtem kilka razy.—Pan nie powiedział mi jeszcze swego nazwiska.

Zawahał się.

— Proszę. Niechaj pani nazywa mnie Dave.

— A więc, panie... Dave — uśmiechnęła się figlarnie. — Trzeba coś zrobić dla pana. Pan jest młody. Znajduje się pan dopiero na progu złej drogi. Teraz zaczyna pan od zabierania tego, co

uważa pan za swoją własność. Później będzie się zabierać to, o czym pan będzie mieć pewność, że nie należy do pana. Wie pan dobrze do czego to wszystko w końcu doprowadzi. Trzeba więc wynaleźć panu uczciwe zajęcie.

— Jestem w potrzebie. Nie mam nic zupełnie — odparł ponuro. — Potrzebuję pieniędzy nietylko dla siebie. Potrzebuję ich również dla przyjaciela o którym mówiłem już pani. Jest on teraz w prawdziwej matni. Jeśli nie wygrzebie się teraz, to utonie zupełnie.

— Mogę wyszukać panu zajęcie — rzekła szybko — Zrobię nawet więcej. Pożyczę panu tyle ile trzeba na wybawienie pańskiego przyjaciela z przykrew sytuacji. Dług ten może mi pan potem zwrócić ze swej gaży.

— Wystarczyłoby na to jakieś trzysta dolarów — rozważał wolno. — Tak. Trzysta dolarów ocaliłoby mojego przyjaciela. Pracowałbym cały rok wzamian za tę sumę z dodatkiem całodziennego utrzymania oraz kilku centów na tytoń.

— Ach, pan pali. Nie pomyślałam o tem wcale. Jej dłoń wyciągnęła się nad rewolwerem, wskazując na charakterystyczne przyżółcenie końców jego palców. Jednocześnie oczy jej porównały szybko odległość między jej dłońmi a jego i broni. Przez jedną, krótką chwilę odczuła niepohamowaną chęć pochycenia rewolweru. Sądziła, że mogłaby to uczynić, a jednak nie była zupełnie pewną siebie. Dlatego też tylko powstrzymała się i cofnęła dłoń.



— Czy chce pan zapalić? spytała.

— Umieram z tęsknoty za papierosem.

— Więc niechże się pan nie krępuje. Proszę bardzo. Mnie to nie sprawia przykrości. Lubię nawet dym papierosów.

Sięgnął niezwłocznie lewą ręką do bocznej kieszeni marynarki. Wyjął kawałek bibułki i położył koło prawej swej dłoni, spoczywającej na rewolwerze. Potem wydobył odrobinę tytoniu i umieścił ją ostrożnie na bibulce. Następnie trzymając obie dłonie tuż nad bronią począł skręcać papierosa.

— Sądząc z tego, jak pan czuwa nad tym ob-szydlwym rewolwerem, wnioskuje że jednak pan mnie się boi — rzekła znów tonem wyzwania.

— Nie zupełnie, proszę pani. Liczę się jednakże z okolicznościami i zachowuję środki ostrożności.

— Ja zaś nie obawiałam się pana.

— Pani nie miała nic dostracenia.

— Owszem, życie — rzekła obcesowo.

— To prawda — przyznał szybko. Pani nie czuła żadnej obawy przedemną. Ja zaś być może jestem nadto podejrzliwy.

— Nie zrobiłabym panu krzywdy w żadnym razie — odparła. Mówiąc to namacała stopą dzwonek i znów pocisnęła go mocno. Oczy jej w tej chwili pełne były szczerzej wymówki. Pan zna przecież dobrze mężczyzn. Wiem o tem. Dusza kobiety też niema dla pana tajemnic. Rozumie pan, że jeśli podejmuje próbę nakłonienia pana do zaniechania

występnego trybu życia i zwrócenia się na drogę uczciwości...

Przerwał ze skruczą w głosie.

— Przepraszam panią — rzekł. — Przyznaję, że moja nadmierna nerwowość jest zbędną.

Mówiąc to zdjął prawą dłoń z rewolweru i, zapaliwszy papierosa, już nie położył jej z powrotem.

— Dziękuję panu za ten dowód zaufania — szepnęła słodko, przezornie powstrzymując się od ponownego zmierzenia odległości rewolweru i wciąż mocno naciskając dzwonek.

— Powracając do sprawy tych trzechset dolarów — zaczął powoli — mógłbym je dziś jeszcze przekazać na Zachód. Wzamian za tę sumę wraz z utrzymaniem zgadzam się pracować przez cały rok.

— Zarobi pan więcej. Zareczam, Mogę panu obiecać nawet siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie. Czy umie pan obchodzić się z końmi?

Oczy mężczyzny zaświeciły się.

— Wobec tego angażuję pana do siebie albo raczej do mego ojca. To wszystko jedno zresztą, gdyż nie ojciec mój, ale ja angażuję służbę. Potrzebuję właśnie drugiego stangreta.

— Czy będę musiał włożyć liberję? — spytał hardo. I w głosie jego nagle zabrzmiało szydersktwo wolnego syna Zachodu.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie

— Nie wiem ostatecznie czy to będzie koniecznem. Pomyślę jeszcze. Tak. Czy potrafi pan ujarzmiac i tresować zrebce?



Potwierdził niezwłocznie.

— Posiadamy na wsi stadnię. Tam byłoby miejsce odpowiednie dla takiego jak pan człowieka. Czy chciałby pan przyjąć takie zajęcie?

— Czy chciałbym, proszę pani? — głos jego drgał nutą wdzięczności i zapału. — Zechce mi pani tylko powiedzieć dokąd mam się udać. Wyruszę zaraz jutro. Mogę też zapewnić pod słowem, że nigdy pani nie będzie potrzebowała żalować pomocy, udzielonej Hugonowi Luke w chwili, kiedy znajdował się nad przepaścią.

— Hugon Luke? A przecież wymienił pan przedtem inne nazwisko. Dave zdaje się — strofowała go łagodnie.

— Istoture, proszę pani. Tak było. Proszę mi wybaczyć. Była to zwyczajne błaga. Naprawdę zaś nazywam się Hugon Luke. A teraz pragnę jedynie aby wymieniła mi pani nazwę miejscowości, do której mam się udać, oraz najbliższej stacji kolejowej. Pojadę tam zaraz jutro rano.

Pani Setliffe przez cały czas tej rozmowy nie zaniedbała swych manipulacyj z dzwonkiem. Naciśkała go w sposób najbardziej alarmujący. Trzy krótkie dzwonki i jeden długi. Dwa krótkie jeden długi, a potem znów pięć krótkich. Próbowała także całej serji krótkich dzwonek. Raz wreszcie naciśkała guzik bez przerwy w ciągu dobrych trzech minut. To łajala w myśli głupiego, zaspanego kamerdynera to znów powątpiewała czy dzwonek był w porządku.

Jest mi bardzo przyjemnie — mówiła — nadzwyczaj przyjemnie, że pan się zgadza. Z zainstalowaniem pana na wsi przy stadninie nie będzie żadnych trudności. Tymczasem zaś pozwoli pan, że pójde na górę po pieniądze.

W tej chwili spostrzegła w jego oczach iskrę zwątpienia i dodała szybko.

— Nie ufa mi pan jeszcze? A ja przecież nie waham się pożyczyć panu trzysta dolarów.

— Ależ ufam pani najzupełniej — odparł z galanterją. To tylko zdenerwowanie. Nic więcej. Nie mogę go jakoś opanować.

— A więc zgadza się pan na to, żebym wyszła z pokoju?

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, słuch jej pochwyił słaby, odległy szmer. Widziała, że to skrzypnęły drzwi od pokoju kamerdynera. Odgłos był nikły. Była to raczej nieznaczna vibracja powietrza niż dźwięk. Nie dosłyszałyby go może wcale, gdyby ucho jej nie oczekiwało i nie pragnęło już oddawna tego dźwięku. Ale słuch mężczyzny również był natężony. Spokój jego pierzchnął.

— Co to było? — spytał czujnie.

Zamiast odpowiedzi lewą ręką z błyskawiczną szybkością pochwyciła rewolwer. Miała przewagę i skorzystała z niej niezwłocznie. W następnej chwili jego dłoń wykonała ten sam ruch, ale w miejscu, w którym przed mgniciem jeszcze leżał rewolwer była już pustka.

— Proszę usiąść w tej chwili — wydała krót-



le polecenie tonem, którego dotąd nie słyszał w jej głosie. — Proszę się nie ruszać. Ręce trzymać na stole.

Brała przykład z jego własnych sposobów. Nie mogła jednak widocznie utrzymać ciężkiej broni wyciągnięta ręką. Kolba rewolweru i łokieć jej spoczywały na stole, lufa zaś była wycelowana nie w jego głowę, lecz w pierś. Twarz mężczyzny nie zdradzała niepokoju. Ale, spełniając posłusznie jej rozkazy, wiedział dobrze, że nie mógł pokładać nadziei w możliwym chybieniu, spowodowanem przez wstrząs. Spostrzegł również, że rewolwer wymierzony był celnie, a trzymająca go dłoń nie drżała. Nie miał też żadnej wątpliwości co do średnicy dziury, którą jest w stanie wywiercić kula wypuszczona z magazynu jego Colta. Nie patrzył więc wcale na kobietę. Całą jego uwagę przykuwał kurek rewolweru, który ugiął się teraz pod naciskiem delikatnego palca.

— Sądzę — odezwał się — że zrobię dobrze, uprzedzając panią, iż kurek tego rewolweru jest nader podatny. Niechaj pani nie naciska go tak silnie, gdyż w następnej chwili już mogę mieć w ciele dziurę wielkości laskowego orzecha.

Zwolniła częściowo kurek.

— Teraz jest lepiej — zauważył. — Najrozsądniej zresztą będzie nie naciskać kurka wcale. Przekonała się pani przecież jak łatwo się ugina. W razie życzenia krótkie, szybkie pociśnięcie zrobi swoje, a na pięknej posadzce tego pokoju na długo zostanie brzydka plama.

W tej chwili otworzyły się drzwi za jego plecami. Usłyszał, że do pokoju ktoś wszedł. Nie odwrócił jednak głowy. Patrzył na kobietę i znajdował, że wyraz twarzy jej uległ zupełnej zmianie. Twarz ta była teraz zimna, nieugięta i bezlitosna, aczkolwiek wciąż jeszcze wspaniała w swej piękności. Oczy również miały wyraz twardy. Paliły się w nich teraz zimne iskierki.

— Tomaszu — rzekła. — Zatelefonuj w tej chwili po policję. Dlaczego nie przychodziłeś tak długo ?

— Przybiegłem, proszę jaśnie pani, w tej chwili, kiedy tylko usłyszałem dzwonek.

Oboje nie spuszczała z siebie wzroku. Zobaczyła że na wzmiankę o dzwonku w jego oczach przemknął cień zdumienia.

— Przepraszam jaśnie panią — rzekł kamerdyner z poza jego pleców. — Czy nie byłoby jednak lepiej abym skoczył po broń i zbudził służbę?

— Nie. Zatelefonuj po policję. Ja sama zatrzymam tutaj tego człowieka. Idź prędko.

Kamerdyner wymknął się z pokoju, a mężczyzna i kobieta siedzieli nadal, patrząc sobie w oczy. Dla niej była to zabawna, podniecająca przygoda. Wyobrażała sobie już plotki, snute na ten temat przez ulicę. Widziała wzmianki, ukazujące się w eleganckich czasopismach o tem jak piękna i młoda pani Setliffe gołemi rękami wzięła do niewoli uzbrojonego w rewolwer włamywacza. Sensacja była zapewniona. Poklask znajomych również.



— Po wyroku, na który pan zasłużył — rzekła chłodno — będzie pan mieć dość czasu do osądzenia czy nie było to szaleństwem przywłaszczać sobie cudze rzeczy i teroryzować kobietę rewolwerem. Będzie pan mieć dobrą naukę, a zarazem dużo czasu na poprawę. A teraz proszę mi powiedzieć całą prawdę. Nie ma pan przecież żadnego przyjaciela, którego kłopoty rzekomo przyprawiły pana o rozpacz. Cała ta historyjka, którą mi pan opowiadał, była wszak kłamstwem?

— Nie odpowiedział odrazu. Oczy jego wciąż jeszcze utkwione były w jej źrenicach, ale miały wyraz smutny. W rzeczywistości przez chwilę nie widział swej interlokutorki. Przed wzrokiem jego duszy rozpostarły się nagle bezmierne stopy Zachodu. Tak mężczyźni jak i kobiety lepsi tam byli i więksi duchowo od tych nawskroś zepsutych naturalizowanych przybyszów, za jakich uważał mieszkańców po trzykroć przeklętych miast Wschodu.

— Proszę, czemuż mi pan nie odpowiada? Dlaczego nie wymyśli pan sobie jakiej nowej bajeczki? A może chciałby pan poprosić abym go wypuściła na wolność?

— Owszem chciałbym odpowiedział, przesuając językiem po zaschłych wargach. — Poprosiłbym o to napewno gdyby...

— Gdyby co? — zapytała drwiącym tonem.

— Przepraszam. Próbowałem właśnie znaleźć właściwe określenie. A więc poprosiłbym o to gdyby pani była uczciwą kobietą.

Jej twarz pobladła nagle jak papier.

— Radzę panu liczyć się ze słowami — rzuciła.

— Dlaczegoż? — szydził. — Przecież na zastrzelenie mnie nie starczy pani odwagi. Świat zaiste upadł bardzo nisko, skoro wałęsają się po nim takie jak pani istoty, nie pogrążył się jednak do tego stopnia, aby pani mogła się odważyć na wywiercenie mi dziury w piersi. Pani jest złą kobietą, tegom pewien, najgorszym jednak wydaje mi się to, że pani jest zbyt słabą w swej złości. Cóż to znaczy zabić człowieka? A jednak nie znajduje pani dość siły aby to uczynić. To właśnie wydaje mi się najpoważniejszą usterką w pani charakterze.

— Jeszcze raz proszę liczyć się ze słowami — odparła. — Uprzedzam, że pan poniesie konsekwencję. To co pan mówi teraz odbije się na wyroku.

Pogróżka nie stropiła go wcale.

— Dziwię się doprawdy — ciągnął dalej — że dobry Bóg pozwala takim jak pani kobietom grasować po świecie. A przecież takie istoty są prawdziwą zakałą ludzkości. Gdybym był Bogiem...

Urwał, gdyż w tej chwili do pokoju wszedł kamerdyner.

— Myślę, proszę jaśnie pani, że telefon się zepsuł. Może druty się poplątały, albo co. Nie mogłem uzyskać połączenia z centralą.

— W takim więc razie zawołaj jednego z ludzi — poleciła. — Poślij go do komisarjatu i wróć tutaj.



Zostali znowu sami we dwoje.

— Czy pani nie zechciałaby łaskawie odpowie-  
dzieć mi na jedno pytanie — rzekł mężczyzna. —  
Służący mówił coś o dzwonku. Byłem bardzo uważ-  
ny podczas naszej poprzedniej rozmowy. Nie zauwa-  
żyłem aby pani dzwoniła.

— Dzwonek znajdował się pod stołem, głupcze  
Przycisnęłam go nogą.

— Dziękuję pani. Podejrzywałem, że kiedyś  
już spotkałem istotę podobną do pani. Teraz jestem  
tego pewien. A więc podczas gdy ja ufny najzu-  
pełniej mówiłem czystą prawdę, pani okłamywała  
mnie najohydniej jak prawdziwa djablica.

Roześmiała się szyderczo.

— Proszę bardzo. Niechże pan mówi dalej.  
Niech pan sobie ulży. To wszystko jest bardzo inte-  
resujące.

— Robiła pani słodkie i łagodne oczy, uda-  
wała pani przez cały czas naszej rozmowy obludną  
sympatję, jednocześnie przyciskając stopą dzwonek  
ukryty pod stołem. No, dobrze. W tem jeszcze znaj-  
duję pociechę, Wolę być sobą, biednym Hugonem  
Luke, mającym do odsiedzenia dziesięć lat kary, niż  
tkwić w pani skórze. O, tak. Piekło roi się od istot  
podobnych do pani.

Przez jakiś czas panowała cisza. Mężczyzna nie  
spuszczał z oka kobiety, obserwował ją pilnie i ob-  
myślał swój plan.

— Dalej, dalej — nalegała. — Niech pan po-  
wie coś jeszcze.

— Ówsem, proszę pani. Powiem. Napewno powiem coś jeszcze. Czy wie pani co mam zamiar zrobić teraz? Otóż, chcę wstać z krzesła i podejść do drzwi. Mógłbym nawet odebrać mą broń, boję się jednak, że pani oszalałaby w tym wypadku. Zgadzam się więc na to, żeby zatrzymała pani ten rewolwer. Jest bardzo dobry. A teraz, jak już powiedziałem, wstaję i idę do drzwi. Pani nie zrobi użytku z broni. Aby zastrzelić człowieka trzeba mieć odrobinę odwagi w sercu, pani zaś nie posiada jej. Proszę się teraz przygotować i spróbować czy będzie pani w stanie nacisnąć kurek. Nie mam zamiaru zrobić pani krzywdy. Nie. Idę do drzwi. Wstaję.

Nie spuszczać ani na chwilę wzroku z jej żrenic, odsunął krzeselko i wstał powoli. Kurek rewolweru ugiął się. Zauważył to niezwłocznie.

— Niechże pani naciśnie mocniej — zalecał. — Nie doszedł przecież nawet do połowy. Proszę nacisnąć kurek. Niechże pani zabije raz człowieka. Niechaj pani strzeli w głowę tak, aby mi mózg wyprysnął na podłogę. A może będzie pani wołała wywiercić w mem ciele dziurę wielkości własnej pięści. Ma pani przecież okazję zabicia człowieka.

Kurek rewolweru ugiął się znowu. Mężczyzna odwrócił się plecami i wolnym krokiem skierował ku drzwiom. Kobieta przechyliła wówczas lufę rewolweru, mierząc mu prosto w plecy. Dwa razy jeszcze naciskała kurek do połowy i jakby niechętnie zwalniała znów nacisk.



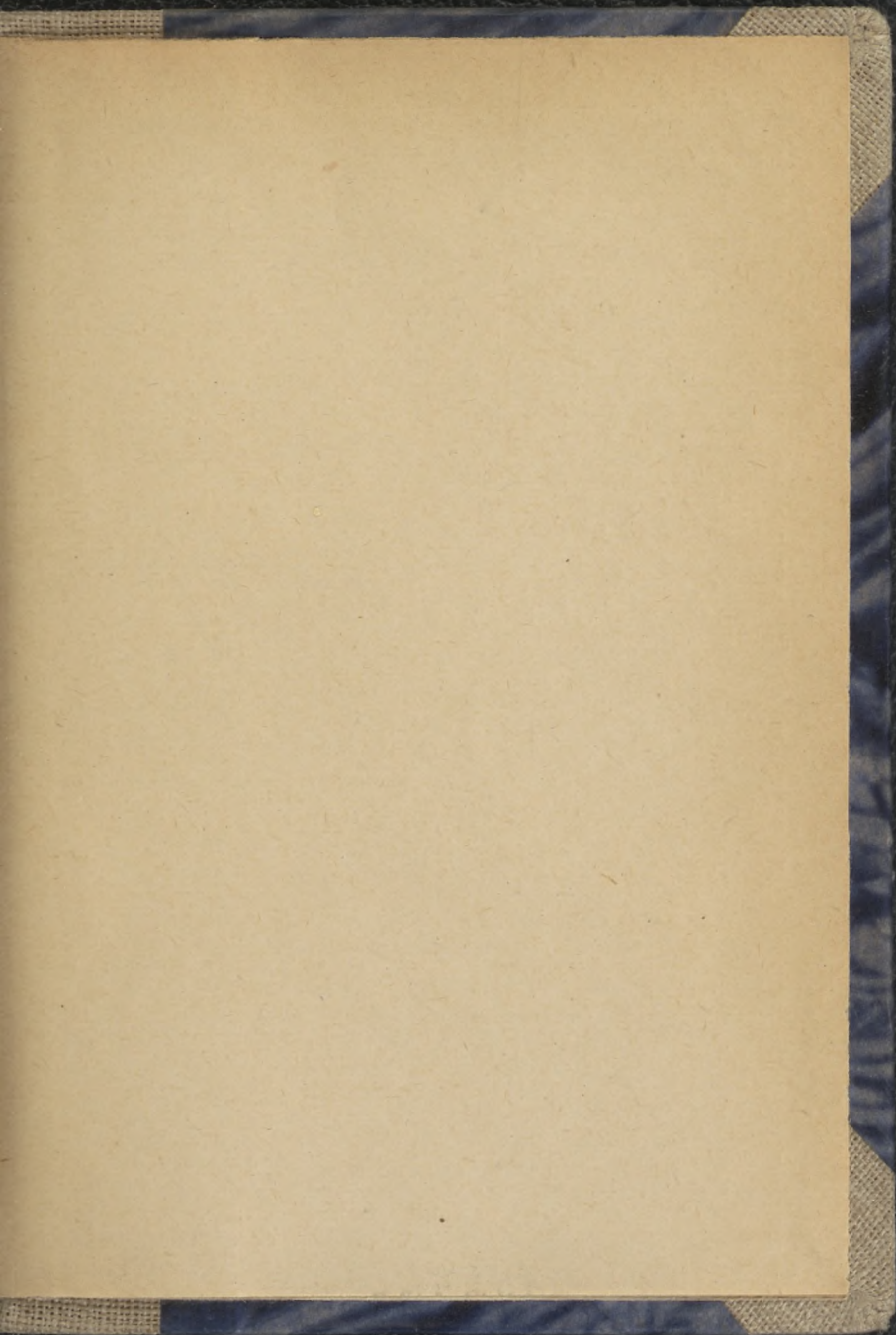
Przed otwarciem drzwi mężczyzna odwrócił się na chwilę. Na jego wargach zadrgało szyderstwo. Przemówił do kobiety cichym głosem, cedząc każdy wyraz z osobna. To co powiedział było kwintesencją wstrętu i pogardy. Rzucił jej wprost w twarz wyrazy złe. wyrazy                      powtórzenia.

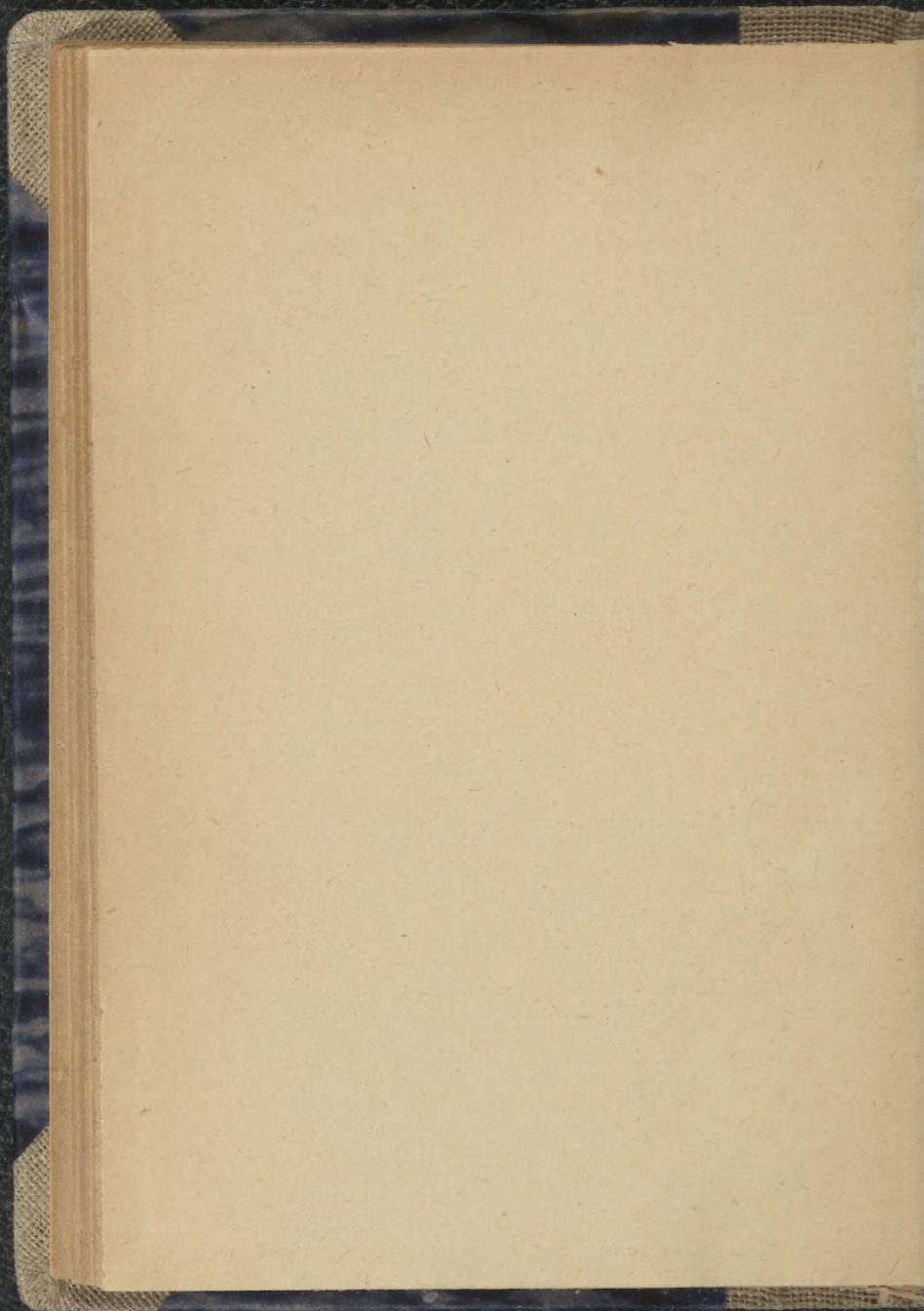
KONIEC.



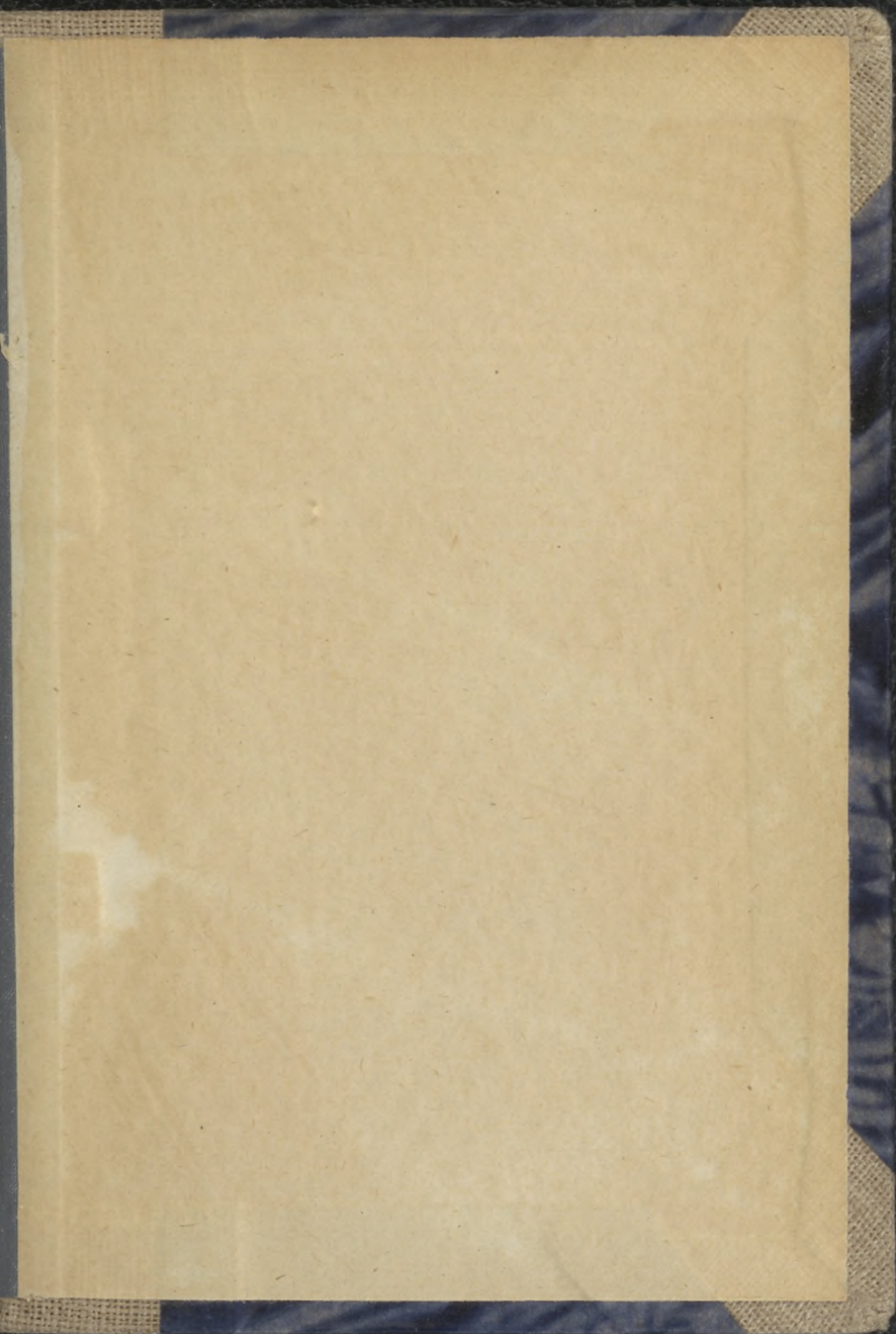
1595/2













544171